



# THIEF

Mroczny Projekt

FABULARNE  
STRESZCZENIE GRY

FABULARNE STRESZCZENIE GRY  
THIEF: THE DARK PROJECT  
(MRO CZNY PROJEKT)

TEKST: AEN  
POMYSŁ I GRAFIKA: DZIARSKY  
REDAKCJA, KOREKTA, WYBÓR ZRZUTÓW:  
CAER O'L AINE

[WWW.THIEF-PORTAL.PL](http://WWW.THIEF-PORTAL.PL)  
[WWW.THIEF-FORUM.PL](http://WWW.THIEF-FORUM.PL)  
[WWW.GILDIAOSWIECONYCH.PL](http://WWW.GILDIAOSWIECONYCH.PL)

ESENCJĄ RÓWNOWAGI JEST BEZNAMIĘTNOŚĆ.  
PRZYWIĄZAĆ SIĘ DO SPRAWY, OBDARZYĆ  
UCZUCIEM LUB ZNIENAWIDZIĆ, TO UTRACIĆ  
RÓWNOWAGĘ, WTEDY ZAŚ NIE MOŻNA UFAĆ  
SWOIM CZYNOM. NASZE JARZMO NIE JEST DLA  
SŁABYCH DUCHEM.

-- MAYAR, TRZECI OPIEKUN



- Niełatwo zobaczyć Opiekuna. Zwróć uwagę na takiego, którego  
nie chce, by go zamrażano. Potrzebujemy takich utra-  
conych, jak ty.



Z niedużej, wybitej w ścianie dziury dobiegło chrobotanie, świadczące o posiadaniu mieszkańca. Po paru sekundach wysunął się zeń mały, ruchliwy nosek, a czarne guziczki ślepek omiotły trwożliwie cały pokój zniszczonej, zapomnianej kamienicy w Porcie Dziennym. Nie wyczuwając zagrożenia, stworzonko wyszło w kierunku leżących na zakurzonych deskach okruszków, usiadło na tylnych łapkach i zaczęło je prędko konsumować.

- Mam cię... – szepnąłem do siebie, schowany za przewróconym, rozbitym blatem stołu. W odpowiedniej chwili skoczyłem jak kot, przygważdżając zwierzątko do ziemi z siłą, która wyrzuciła pył spomiędzy desek na sążeń. Sapiąc, chwyciłem piszczącego przeraźliwie gryzonia za długi, nagi ogon i uniosłem z uśmiechem.

Okruszki pochodziły z chleba podwędzonego o świcie z piekarskiego kramu, gdy tłusta, spocona świnia odwróciła się podczas układania parujących bochnów na nieheblowanych deskach. Teraz na dodatek miałem do niego mięso. A także ogon, który za grosik mogłem opchnąć jakiemuś szarlatanowi od amuletów. Dzień jak co dzień.

Mieszkałem na ulicy od zawsze. Dorastałem wśród obdrapanych budynków, brudu i bruku, robiąc wszystko, by przeżyć kolejną dobę. Moi rodzice? Nie wiem, kto nimi jest i nie dbam o to... No, może czasem tro-

chę. W każdym bądź razie ulica została moją drugą matką – sroga, ale nie pozostawiającą złudzeń. Żyłem z tego, co mogła mi zaoferować, jednocześnie nie dając mojej osobie łatwych sposobów na uzyskanie tychże prezentów. Trening, rozumiecie.

Ile mam lat? Kurwa, sam nie wiem. Jednak nie za dużo – czasami, szczególnie podczas zimy, trzymałem się z bandami innych uliczników i widziałem tam nawet takich, którzy mają już włosy pod nosem. Ja ich nie mam... Ale i tak jestem lepszy od nich wszystkich. Podczas kradzieży sapia i tupią jak ryjec na rui, często więc obrywali wszyscy. Dlatego właśnie staram radzić sobie sam – poza jedzeniem często zwijam sakiewki i błyskotki, a złapali mnie tylko raz. No, może dwa. Ale nie więcej! Jestem cichy i szybki.

Po posiłku wyszedłem przez małe okienko na zrujnowane podwórze, mrużąc oczy przed oślepiającym porannym słońcem. Zatupałem bosymi stopami na nierównych kocich łbach i wybiegłem na główną ulicę – Port Dzienny jest dzielnicą biedoty i robotników, nikogo nie dziwi więc mały oberwaniec. Na dodatek był to dzień handlowy, wszędzie więc wędrowali ludzie, przechodzący przez to miejsce w kierunku ulicy Targowej. Doskonała pora na łatwy zarobek.

Oparłem się plecami o pozbawioną tynku ścianę i obserwowałem idących. Dwie matrony w dziwacznych czapkach i jeszcze brzydszych ciżmach nie miały pasów, nie uświadczylem więc sakiewek. Parę błyskotek wyglądało nieśmiało spomiędzy fałd drogich ubrań, jednak widok ubranego na czarno osiłka z krótką pałką za pasem, idącego z paniami krok w krok, odciągnął mnie od moich zamiarów. Dalej – Młot. Do tych ześwirowanych zakonników lepiej nawet nie podchodzić. Stałem więc spokojnie, patrząc na różnokolorową rzekę ludzi. Uniosłem twarz do słońca, poddając się ciepłemu dotykowi jego promieni, jednak kątem oka dojrzałem insygnia Straży Miejskiej, wołałem więc zniknąć w chłodniejszym zaułku. Wtedy ktoś puknął mnie w ramię. Obejrzałem się i ujrzałem znajomą, naznaczoną czerwonymi krostami i uśmiechniętą twarz:

- Cześć Smitty!

- Sie masz Garrett! Na łowach?

Garrett... Nie wiem czy tak zostałem nazwany, imię to jednak trwało przy mnie odkąd sięgam pamięcią. Przyjąłem je więc i kazałem tak się nazywać, co czynili znajomi z band. Oraz Smitty.

Był on jednym z nielicznych chłopaków, z którymi znalazłem wspólny język. Jak my wszyscy, został porzucony i karmił się tym, co znalazł. Lubilem go – byliśmy w podobnym wieku, nie gadał głupot jak niektórzy i naprawdę nieźle sobie radził w łapaniu dyndających u pasów wielmożów okazji – kiedyś nawet chcieliśmy zamieszkać i robić wypadki razem, we dwójkę. Smitty jednak kochał towarzystwo i trzymał się z bandą Dericka – nadętego, cholernego szczyła. Mówiłem już, że go lubiłem?

- Taa – odparłem, odwracając się w stronę krótkich kręconych blond włosów, perkatego nosa oraz niebieskich oczu – Ale coś posucha dziś, o dziwo.

- Boś, ty durna pało, w złym miejscu stanął – zaśmiał się mój rozmówca – Chłopaki z grupy koszą od rana przy wejściu do dzielnicy. To, co tu idzie, już okrojone.

- Aha. No, nic to, może jednak na coś trafię.

- Jak sobie chcesz. Nie poszedłbyś ze mną na szczury przy kanale? Dają po groszu za ogon...

- Może później, teraz sobie tu postoję. Chcesz ogon? Ze śniadania mi został.

- Pewnie! No to do zobaczenia!

- Trzymaj się.

I pobiegł, a ja wróciłem pod ścianę – punkt obserwacyjny.

Stałem, a tłum powoli rozpierzchł się. Ziewnąłem z nudów i już miałem się zbierać, gdy... zobaczyłem coś dziwnego.

Ulicą szedł zakapturzony mężczyzna. Nie szedł tak jak inni przechodnie – zwyczajnie przemykał wśród nich, idąc szybko i cicho jak mysz

w spichlerzu. Co innego jednak zwróciło moją uwagę – wielka, pękata sakiewka u pasa. Jak banda mogła go nie przyuważyć?

Tym lepiej dla mnie.

Ruszyłem za zagadkowym przechodniem, nie spuszczać go z oczu. Szedł szparko, nawet nie muskając innych, którzy, jak na złość, wpadali na mnie ze złowrogim: „Won z drogi, gnojku!”. W końcu udało mi się znaleźć jakiś metr od upragnionej zdobyczy. Wyciągnąłem rękę i już ją miałem...

...gdy on odwrócił się i chwycił mój nadgarstek żelaznym uściskiem.

Wiedziałem co teraz będzie – solidny łomot albo wrzask: „Złodziej!”. Szarpnąłem się – bezskutecznie. Nieznajomy nie puszczał. W końcu przemówił, patrząc mi prosto w oczy, cichym, spokojnym głosem:

- Zdolny jesteś. Niełatwo jest zobaczyć Opiekuna, który nie chce być zauważony.

Przestałem się szarpać i spojrzałem na niego przerażony. Świr jakiś, czy co? Przyjąłem inną taktykę której się nauczyłem – próbowałem wziąć go na litość:

- Proszę, szanowny panie, puść mnie! Jestem głodny, nie jadłem od paru dni.

- Zapewne – odezwał się po chwili, jakby coś kalkulował – Masz talent chłopcze. Czy chciałbyś nauczyć się jak go wykorzystać?

- Co?

- Pytałem, czy chciałbyś uczyć się tego, co jest w tobie silne, śpiąc w ciepłym miejscu i jadając regularnie?

Przestraszyłem się nie na żarty – chłopaki opowiadali mi, jak kiedyś w podobny sposób ktoś przekonał na ulicy Dennisa – jednego z młodszych w bandzie. Wrócił po paru dniach, zapłakany i milczący. Zatruli go czymś chyba, bo przez tydzień krwawił z tyłka. Brzmiało to niezwykle śmiesznie, jednak w tej sytuacji przestało.



- Puszczaj, świrusie! – szarpnąłem się po raz kolejny, ze zdziwieniem czując, jak mężczyzna puszcza moją dłoń. Otarłem bolący nadgarstek patrząc jednocześnie w ciemną czeluść kaptura.

- Daję ci szansę, chłopcze. Nie musisz z niej korzystać. Wiedz jednak, że powinieneś – powiedział obcy, po czym obrócił się i ruszył w swoją stronę. Tym samym, szybkim tempem.

Stałem przez chwilę, przestępując z nogi na nogę. Po czym pobiegłem za nim.

\* \* \*

- Gdzie jesteśmy? – spytałem, oglądając wielkie, pokryte wężykami rdzy wrota – O co w ogóle chodzi?

- To miejsce zapomniane przez Straż Miejską, zamaskowane przed oczami niezycliwych. Właśnie tutaj odbędzie się etap twojego przygotowania i treningu.

Popatrzyłem na solidny, okalający budowlę mur, na bramę... i jeszcze raz na mur. Kluczyliśmy uliczkami, nie miałem więc pojęcia gdzie się znajdowałem. O to chyba mu chodziło...

- Treningu do czego?

Człowiek zaśmiał się cicho.

- Czy to nie oczywiste? Nauczysz się jak żyć w pokoju z cieniem, ciszą i spokojem, jak być niezauważonym, niesłyszalnym... nietykalnym. Po to, byś w przyszłości mógł działać w służbie równowagi i opiekować się Miastem. Jako Opiekun.

- Nie rozumiem, panie. Jako... kto?

- Wszystkiego dowiesz się w środku. Chodźmy.

Poczułem za plecami czyjąś obecność. Odwróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem kolejnego, stojącego w cieniu murów człowieka. Mój rozmówca zaśmiał się:

- Zdolny, a niech mnie. Akall, to ja – mówiąc to, podwinął rękaw i pokazał coś na ręce, czego dojrzeć nie mogłem – otwórz bramy.

Wrota bezgłośnie otworzyły się, a ja zostałem ponaglony. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak wielki zwrot w moim życiu miała znaczyć ta chwila.

Wewnątrz stał kolejny zakapturzony człowiek. Hala była obszerna i dosyć mroczna, musiałem aż zamrugać, by przyzwycząić wzrok. Wysokie kolumny upstrzone były paroma pochodniami, widziałem równo oddalone od siebie drzwi. Mężczyzna podszedł do mojego przewodnika, szepnął mu coś do ucha. Ten pokiwał głową i zwrócił się do mnie.

- Tutaj nastąpi moje pożegnanie. Oddaję cię pod opiekę Trevorowi – Będzie twoim trenerem i mentorem. Będzie też na bieżąco przekazywał mi informacje o twoich postępach, Garrett. Gdy wyniki będą zadowalające, przekaże mi ciebie na dalszą naukę. Bywaj!

- Zaraz! – rzuciłem w stronę odchodzącej postaci – Skąd wiesz, że nazywam się Garrett?

Przystanął. Tkwił chwilę w miejscu jak czarny stalagmit, po czym odparł:

- Tak mi się przedstawiłeś.

- Ja? Nie. Hm... może... nieważne. A jak *ty* się nazywasz?

Stalagmit nie poruszył się. Stał bite dziesięć sekund, zanim odpowiedział:

- Artemus.

\* \* \*

Trevor zaprowadził mnie do sypialni – była to podłużna komnata z jednym niewielkim oknem i szeregiem piętrowych, zbitych z desek łóżek pod ścianami. Gdy wszedłem z nim do środka, głowy siedzących na łóżkach chłopaków uniosły się. Każdy ubrany był w czarne materiałowe spodnie oraz kubrak tego samego koloru. Trener wskazał mi moje łóżko

(przy oknie, cudownie), na którym leżał podobny uniform, po czym rzekł do wszystkich:

- Jesteście tu nowicjatem. Od jutra zaczniecie zajęcia zarówno teoretyczne jak i praktyczne. Możecie czuć się odrobinę niepewni i skrępowani, ale obiecuję wam, że za te kilkanaście godzin dowiecie się wszystkiego o tym miejscu, waszych prawach i obowiązkach, bractwie. Jeśli ktoś chce teraz wrócić na ulicę i wygrzebywać odpadki spod wozów i kramów, droga wolna. Później z odwrotem będzie gorzej.

Nikt się nie poruszył, wszyscy wlepiali w niego oczy. Uśmiechnął się:

- Nawet nie wiecie, jak ważną rolę przewidziało dla was przeznaczenie – mówiąc te słowa, wyszedł.

Podszedłem do łóżka, nie patrząc na szóstkę lokatorów. Nie znałem żadnego z nich i nie miałem ochoty na poznanie. Przynajmniej nie teraz.

Zdjąłem brudną koszulinę i wzięłem kubrak. Gdy przeciągałem go przez głowę, poczułem cios w żołądek. Stęknąłem i cofnąłem się, wciąż owinięty ubraniem, pod ścianę. Jeden z chłopaków, starszy ode mnie, wysoki blondyn z wypryskami na twarzy, stał przede mną, masując pierś.

- Paniczyk, co? – rzucił pogardliwie, ukazując zęby, wśród których brakowało dwóch przednich – Nie przywita się z nowymi kolegami?

Rzuciłem okiem na resztę – byli niewiele ode mnie starsi, siedzieli na łóżkach patrząc na całą scenę przymrużonymi oczyma. Cóż więc mogłem mu odpowiedzieć?

- Pierdol się.

Za wolno się uchyliłem i dostałem w bark, który zapulsował bólem. Machnął łapą jeszcze raz, ale tym razem zrobiłem unik, chwyciłem go za przegub i kopnąłem w brzuch. Wypróbowanym ciosem pod kolano ściągnąłem go jeszcze niżej, a wtedy uderzyłem otwartą dłońią w wystawiony, czerwony od krost nos.

- Co się tu dzieje?! – do sali wpadł Trevor, zaalarmowany wrzaskiem innych. Stał w drzwiach, spojrzął na siedzącego na tyłku oponenta

krwawiącego obficie z obu dziurek, potem na mnie, potem znów na niego.

- Ty... Greg, tak? Idziesz ze mną, zatamujemy to – wskazał ręką na krwawiącego, który siedział, zbyt jeszcze oszołomiony wynikiem walki – Ty zaś – zerknął na moją twarz, potem na zaciekle i ponure gęby innych.

- Ty zaś nie będziesz miał tu łatwego życia.

\* \* \*

Cholera, miał rację. W nocy dostałem porządny wycisk. Gdy nad ramię przyniesiono wodę oraz jakiś dziwny napój „na odrobaczenie”, umyłem się jak najszybciej, przełknąłem niesmaczną miksturę i wręcz wybiegłem na te tak zwane „zajęcia”, by uniknąć kolejnej fali gniewu. W drodze próbowałem ukryć jakoś rozcięcie i siniaki.

Nie lubiano mnie, oj nie. Za to, że przeciwstawiłem się Gregowi, szefowi tej cholernej grupki, musiałem przetrwać ciągle podżegania. Ale poza tym było naprawdę ciekawie.

Skrybowie uczyli nas pisać i czytać. W wielkiej sali z ławami spotykali się wszyscy wychowankowie (było ich naprawdę sporo, jednak nie chciałem kusić losu i mieć z nimi jakikolwiek kontakt), po czym dostawaliśmy kartki i pisaliśmy. A, be, ce, de i tak do usrania. Opowiedziano nam o Opiekunach, a gdy w końcu nauczyliśmy się trudnej sztuki kaligrafii i odczytywania tych wszystkich znaczków na papierze, oddano nam do dyspozycji ubogą bibliotekę nowicjatu. Spędzałem tam większość wolnego czasu, nie mając ochoty na cięgi od mojej szacownej grupy, przez co dowiedziałem się naprawdę sporo o historii Miasta, doktrynach Opiekunów i innych zgrupowań oraz o takich rzeczach jak przepowiednie, strzeżone przez glyfy sanktuarium (wedle słów skrybów, mieliśmy się tam przenieść po odbyciu podstawowego szkolenia), czy równowaga pomiędzy Ładem i Chaosem. Powoli zacząłem pojmować gdzie się znajdują.

Pewnego dnia siedziałem w pustej, oświetlonej pochodniami bibliotece i czytałem jakąś ciekawą księgę, gdy stanął nade mną Trevor. Zaczerniłem się, próbując ukryć łokciem rycinę, na której jakaś para leżała razem w dość wyuzdanej pozie, on jednak nie zwróciwszy na nią uwagi, siadł obok.

- Masz wielki pociąg do wiedzy, adeptcie – stwierdził fakt. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, bąknąłem więc coś niezrozumiale.

- Tak... Wiedza jest najważniejszą częścią bycia Opiekunem – rzekł zamyślony, opierając brodę na dłoniach – Prawdziwy Opiekun potrafi w odpowiedniej chwili utrzymać balans zarówno przy pomocy cichego chodu i mroku, jak i szarych komórek. Twoje postępowanie dobrze rokuje. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Robię to, co powiedzieli mi skrybowie i inni trenerzy – bąknąłem – przygotowuję się do roli akolity i wstępu do sanktuarium. Jak reszta adeptów.

- Ty nie jesteś jak reszta adeptów, Garrett.

Siedziałem przez chwilę na zydlu, przetwarzając to, co powiedział.

- Jak to? Według doktryny moim przeznaczeniem jest...

- Twoje przeznaczenie – przerwał dość obcesowo trener – jest zbyt trudne, byś teraz je poznawał. Jest pełne ścieżek i błędzenia, bólu i cierpień, które w konsekwencji jednak okażą się konieczne do utrzymania równowagi.

Siedzieliśmy przez chwilę. On czekał na moje słowa, a ja układałem sobie wszystko w głowie.

- Czyli... jestem kimś ważnym dla balansu?

Trevor wstał i bezgłośnie podążył ku drzwiom. Otworzył je i wtedy obrócił głowę.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo, chłopcze.

Wyszedł, a ja zostałem wśród książek, uginających się pod nimi półek, kurzu i zapachu inkaustu.

\* \* \*

- Naaaapinać!

Staliśmy w rządku na murawie, z łukami w dłoniach, na wewnętrznym dziedzińcu kompleksu. Założyłem strzałę na cięciwę, uniosłem broń i napiąłem, słysząc przyjemne trzeszczenie jesionu.

- I... strzaaaaaa!

Cięciwy zostały puszczone, rozległ się świst i głuchy odgłos wbijających się grotów. Popatrzyłem na swoją tarczę – blisko środka, lepiej, niż parę tygodni temu. Postęp.

- No dobra, młodziki – darł się z balkonu Trevor – Sięgać do kołczana i jeszcze raz... naaaaaapinać!

\* \* \*

-Parada, finta, parada, finta... dobrze... pchnij. Nie, nie tak. Nie całą ręką, stracisz równowagę i odsłonisz bok. Powtarzamy. Lepiej, dużo lepiej.

- Aaaaaaaa!

- Zaraza... Poćwicz chwilę na manekinie, Garrett. Pójdę zobaczyć co się stało temu tłuкови... Kurwa! Mówiłem, adepcie Bollock, *nie* celujemy w twarz! Adepcie Redd, przyłóż to do policzka i chodź ze mną.

\* \* \*

- Podwójne salto. Umiesz?

- Ćwiczyłem trochę. Spróbuję.

- Nie. Umiesz albo nie umiesz: żadnego próbowania.

- Umiem.

- Skacz.

- Bardzo dobrze. Teraz przewrót.

\* \* \*

- Widzicie, pokój został zaciemniony, jednak tam, o, to pod sufitem, to wykrywacz, sprytny wynalazek zakonników Młota. Jeśli was... hm... zobaczy, zawyje. Dodatkowo, niektóre nawierzchnie są głośnie. Musicie przejść na drugą stronę, a tam danymi wam wytrychami otworzyć drzwi. Za nimi czeka niespodzianka. Kto pierwszy? Garrett? Pokaż im jak to się robi, chłopcze.

\* \* \*

I tak mijały miesiące. Miesiące walki o byt w nocy i intensywnych treningów umysłowo-cieleśnych w dzień. Szło mi bardzo dobrze, co powodowało dodatkową falę zawiści ze strony tych wrednych kutasów, nie przejmowałem się jednak. Ignorowałem wszelkie zaczepki, a jeśli doszło do walki – bez litości prałem, ile wlezie. Ha, i w końcu zaczęły mi rosnać włosy na brodzie i policzkach!

Pewnej nocy zostaliśmy wypuszczeni grupą mieszkalną na tak zwane „zajęcia praktyczne” bądź „obłapiankę”, jak zwali to niektórzy trenerzy. Szliśmy w świetle księżyca pustymi ulicami, mając przejść aż do punktu na mapie, nieopodal kanału, w którym mieliśmy znaleźć wskazówki, co dalej. Szóstka z Gregiem na czele szła z przodu, ja wolałem trzymać się z tyłu. Dla własnego bezpieczeństwa.

Drużyna nie była zbyt ostrożna ani cicha – na szczęście dla nich na drodze nie było żadnego przedstawiciela Straży Miejskiej. W pewnym momencie przystanęli, by zerknąć na mapę. Zaczęli też psioczyć.

- Mam już, kurwa, dość tych gier. Rzygam ciąglymi tekstami o równowagach i balansach. Drażni mnie wszystko w tym cholernym więzieniu. A zwłaszcza ten dupek – nie odwracając głowy, Greg wskazał na mnie palcem co, naturalnie, zignorowałem.

- Właśnie – rzucił ogolony na лыso Dan, wyjątkowo wredny typ – Może po prostu porzucimy to gówna i zaczniemy żyć jak królowie?

- Co masz na myśli?

- Jak co? Osiądziemy gdzieś i zaczniemy obrabiać. Najpierw przechodniów, a potem domy. Może świątynie. Kiedyś zająłem do katedry Młotów. Człowieku, tyłu kielichów i złotych pierdółek nigdy żem nie widział!

- No, albo grobowce – podniecił się Oskar, zadziwiająco, jeszcze głupszy od Dana – Słyszałem, że ze zmarłymi chowają naprawdę cenne błyskotki.

- Taa, a słyszałeś, tępy ćwoku, że zmarli często bardzo dobrze pilnują tych skarbów? – uciał Greg – Ale pomysł jest dobry. Albo najemnicy: z tym, co nas nauczono, byłibyśmy niezłymi skrytobójcami. Cii... Słyszeliście?

Z zaułka nieopodal dobiegł szmer. Z cienia wyskoczył jakiś chudy łachudra. I natychmiast zaczął uciekać, błyskając piętami. Greg wyjął z cholewy nóż.

- No to, panowie – warknął przez zaciśnięte zęby – możemy poćwiczyć.

Pobiegli za nim, ja również. Nie wiem, skąd ten idiota wziął nóż, którego na pewno nam nie dano, ale wiedziałem, że jeśli zabiją tego człowieka, wdepniemy w niezłe gówno.

- Stój, kretynie! – wrzasnąłem. Wtedy Dan odwrócił się i w uderzył mnie pięścią w mostek. Zacharczałem i upadłem, plaskając tyłkiem w kałużę końskich szczyń. Słyszałem, jak z wraskiem i śmiechem dopadają bezdomnego, który zaczął przeraźliwie krzyczeć. Gdy wstałem, kopali właśnie leżącego człowieka, który już nie krzyczał. Przepchnąłem się przez nich i spojrzałem na ciało, oświetlone teraz przez księżyc.

Znałem te kręcone blond włosy, zadarty, parchaty nos. Znałem niebieskie oczy, teraz wpatrzone w gwiazdy, których światło było jedyną rzeczą jaka odbijała się w pustych źrenicach. Nie znałem za to szerokie-



go cięcia pod brodą, cięcia z którego broczyła ciemna krew, wsiąkając pomiędzy kocie łby.

To był Smitty.

- Ładny cios – usłyszałem głos Oskara.

- Dzięki – odpowiedział Greg. Wtedy nie wytrzymałem.

- Zabiję cię – szepnąłem. Wszyscy zamilkli. Przywódca tej śmierdzącej grupki zmrużył oczy.

- Bacz, co mówisz, bo możesz się mocno minąć z własnymi słowami.

- Zabiję cię – powtórzyłem. Głośniej. Greg uniósł nóż do góry.

- Spróbuj. Długo na to czekałem.

Zaatakował od razu, celując szeroko prosto w gardło. Nie byłem jednak biednym Smittym, z łatwością odskoczyłem. Ponowił cios – znów niecelnie, jednak tym razem szybkim kopniakiem trafiłem w zaciśnięte na rękojeści palce. Herszt bandy zawył i rzucił się na mnie, próbując przywoździć ciałem. Był większy, ale ja byłem szybszy. Ponowiłem cios, który trafił w nadgarstek, nóż wysunął się z bezwładnej dłoni. Złapałem go w locie i wysunąłem szybko. Greg nie zdążył się zatrzymać.

Gdy upadł, drgając spazmatycznie kończynami, reszta stała jak słupy soli. W końcu ocknęli się, a ja poczułem cios. I jeszcze jeden. I kolejny. Grad kułaków posypał się na mnie. Usłyszałem głos Dana:

- Lecimy po mentorów. Alan, pilnuj tego śmiecia!

\* \* \*

Gdy przybyli Opiekunowie, siedziałem w kucki, patrząc niewidzącym wzrokiem na zwłoki przyjaciela. Gdy unieśli mnie, zamknąłem oczy, zymiotowałem i zemdlałem.

Ocucili mnie w głównej sali. Stał nade mną Trevor. Z niezbyt wesołą miną.

- Zabijeś innego adepta.

- Zabił mojego przyjaciela.

- Prawo jest prawem. Będziesz osądzony.
- Chcesz mnie obić, zrób to. Za mało dziś dostałem.
- Zbieraj się.
- Dokąd?
- Do sanktuarium.

Chyba nie udało mi się ukryć bezbrzeżnego zdziwienia na twarzy.

Doprowadzili mnie tam jakimiś podziemnymi korytarzami, czułem zapach pleśni i słyszałem lecaącą gdzieś ciurkiem wodę. Oczywiście miałem związane, więc gdy w końcu ściągnęli mi opaskę, blask pochodni oslepił mnie.

Znajdowałem się w okrągłym, wielkim pomieszczeniu. Aż do wysokiego sufitu widziałem wnęki, w których stali Opiekunowie. Posadzono mnie na krześle, widziałem czających się w cieniu strażników z kuszami. Przede mną stał zafrasowany Artemus.

- Adeptcie Garrett, dokonałeś dziś zbrodniczego czynu: przeciąłeś nic życia innego adepta. Czy miałeś motyw?

- Zabił bez powodu na ulicy bliską mi kiedyś osobę.

- Wiemy to, waszych towarzyszy dosięgnie za to kara. Jednak prawo jest prawem. Czym się kierowałeś, sięgając po ostateczny sposób?

- Miał nóż. Gdyby nie na ulicy, zabiłby mnie podczas snu.

- Wiemy, że nie miałeś dobrego kontaktu z współmieszkańcami. Jednak czyn ten zachwiał równowagą bractwa. Nie miałeś prawa.

- Zabiłby mnie, nie słyszysz? – uniosłem głos, na co wielu ukrytych we wnękach Opiekunów zaszumiało.

- Wiemy, że...

- Skoro tak wszystko, kurwa... – strażnicy unieśli kusze do twarzy, pohamowałem się więc i obniżyłem ton – Skoro tak wszystko wiecie, to po co ta cała farsa? Zwyczajnie ukarście mnie, objicie, wrzucicie do karceru, ale skończcie te gadki o równowadze, balansie, czy przeznaczeniu. Dziś przekonałem się, ile warta jest ta wasza cała doktryna. Potraficie tylko gadać.

Artemus nie wiedział, co powiedzieć, uniósł tylko ręce, po czym od razu je opuścił. Wstałem z krzesła, nie zważając na buczenie z wnek, czy stężących strażników.

- Mam tego dość. Wyprowadźcie mnie stąd. Na ulicę, gdziekolwiek. Po prostu zniknijcie!

Opiekun patrzył na mnie smutnym spojrzeniem, wzrokiem powstrzymał podchodzących do mnie wartowników z mieczami w dłoniach.

- Osobiście wskażę ci drogę. Zostaniesz wypuszczony i pójdziesz swoją ścieżką. Wiedz jednak, niepokorny, iż nieraz jeszcze nasze drogi skrzyżują się.

- Jasne... Po prostu pokaż mi wyjście.

Wyszedł z sali, ja za nim. Opiekunowie odsuwali się, słyszałem posykiwania i ciche epitety na mój temat. W wielkim, kamiennym wejściu obróciłem się na chwilę i spojrzałem na dosłownie huczące wneki.

- A was – zastanowiłem się przez chwilę i powiedziałem najmądrzejszą rzecz, jaka przyszyła mi do głowy – Pies chędożył.

\* \* \*

I oto jestem znów na ulicy. Tym razem jednak nie będę karmił się szczurami i obrabiał płotki. Talent i pobrane nauki spowodują, że zostanę najlepszym złodziejem w Mieście i dobrze zarobię na swoje utrzymanie. Znajdę mieszkanie, zasięgnę języka wśród sprzedawców i paserów, kupię sobie sprzęt i będę przyjmował same lukratywne zlecenia. Te najtrudniejsze.

To się musi udać!

Nad ranem, za pieniądze pewnego nieuważnego kapłana, wynająłem mały pokoik na strychu kamienicy nieopodal Shalebridge. Gdy wszedłem do środka i zobaczyłem cztery puste, drewniane ściany, biurko, szafę oraz rozłożony na ziemi koc, po policzku spłynęła mi łza.

W końcu coś własnego...

Cały dzień spędziłem na poszukiwaniu kontaktów. W jednym ze sklepów kupiłem solidną, czarną jak heban pałkę. To będzie musiało mi na razie wystarczyć – pieniądze na łuk i miecz przyjdą z czasem. Tak samo, jak porządne mieszkanie.

Wieczorem wróciłem do pokoju z odrobiną jedzenia i zakupionym obuchem. Usiadłem na kocu, łapczywie pochłonałem bochenek chleba i parę plasterów suszonej wołowiny, po czym przypiąłem sobie pałkę do pasa – czas wyruszyć na poszukiwanie miejsc, w których mogą być zleceniodawcy.

Przed wyjściem podszedłem do okna i wyjrzałem. Zbliżała się jesień, wiatr przeciskał się przez wypaczoną okiennicę, po ciemnej ulicy szli ludzie, strażnicy przekrzykiwali się wzajemnie, kupcy darli się jeszcze głośniej składając kramiki, a nad wszystkim górowały latarnie oraz wielkie sanktuarium Młotów. Miasto... moja prawdziwa matka.

Zobaczyłem odbicie swojej młodej twarzy w szybie i uśmiechnąłem się.

Znowu wszak pracowałem tak jak lubię – sam...

NAJBARDZIEJ OBIECUJĄCY AKOLITA OPUŚCIŁ NAS, NIE ZE WZGLĘDU NA MNIEJSZE SZALEŃSTWO SENTYMENTU, LECZ WIĘKSZE - GNIEWU. JEGO SERCE ZAKRYWAŁ MROK, RÓWNOWAGA ZOSTAŁA UTRACONA, LECZ JEGO ZDOLNOŚCI NIE MIAŁY SOBIE RÓWNYCH. NAWET WTEDY WIEDZIELIŚMY, ŻE NALEŻY GO PILNIE OBSERWOWAĆ.

-- ROCZNIKI OPIEKUNÓW



...drobiazgi, którym chce Cutty, to bierio. Srebro, klejnoty,  
standardowe ozdoby. Porinus osiągnęłi niesokę cenę na  
rynek...



Miasto spało. Latarnie, uruchomione po zmroku przez mocno podchmielonych już gwardzistów, delikatnie hipnotyzowały zielonkawym, upiornym wręcz światłem. Dla wielu jasność ta była ostoją i zapewnieniem bezpieczeństwa. Nie dla mnie. Jestem złodziejem i światło potrzebne mi jak, pardon, zatrzaski w rzyci.

Przykucnąłem na murku, wciągając łapczywie nocne powietrze. Chłodny wiatr wiał dość mocno, zwał mi z głowy kaptur, jednak nie przejmowałem się tym na razie. Wpatrywałem się w olbrzymią rezydencję Bafforda. W miejsce, z którego miałem, wedle transakcji, wynieść coś należącego do „najbogatszego skurwysyna w Mieście”, jak to krótko, acz treściwie określił mój zleceniodawca. Jego srebrne, inkrustowane klejnotami berło. Nie powinno być z tym problemu. Zeskoczyłem z murku i wylądowałem na bruku. Czas zacząć.

Główne wejście do rezydencji wychodziło wprost na ulicę. Przy zakratowanej bramie stało paru strażników i dość niewyraźnymi głosami rozprawiało o porannej wycieczce do Niedźwiedzych Dołów. Minałem pilnowaną bramę i ruszyłem w górę ulicy. Przeszedłem obok zaśniedziałych klap wiodących do kanałów bez zainteresowania. Śmierdziało od nich jeszcze bardziej niż na powierzchni, a ja, człek czysty, babrać się w cudzym nie lubię.

Napotkałem jednoosobowy patrol, jednak gwardzista nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, zajęty bębnieniem jelcem miecza w lampy i pogwizdywaniem. Doszedłem na mały placyk i widok sprawił, że na mojej nieogolonej twarzy zagościł uśmiech.

Stała tam studnia zaopatrująca Bafforda w wodę. Grubas nie był w Mieście zbyt lubiany, w obawie przed trucicielami załatwił sobie więc własny dopływ. Dodatkowo, w podobnym strachu przed ekskrementami zawistnej biedoty, postawił wokół ujęcia budkę, a przed wejściem postawił strażnika. Obecnie w niezbyt dobrej, że się tak wyrażę, kondycji. Bez trudu zwędziłem mu klucz i otworzyłem drzwi do kabiny. Zamknąłem je po cichu i zanurkowałem do studni.

Woda była przeraźliwie zimna. Zbawczy haust powietrza dodał sił. Popłynąłem do przodu, dość wolno z powodu ściągającego w dół, namokniętego płaszcza.

Z góry lały się strumienie wody. Dopłynąłem do miejsca, w którym można było wyjść na brzeg. Wspiąłem się na górę i, przez wielką dziurę w ścianie, dostałem się do posiadłości.

W piwnicy śmierdziało wilgocią i szczurzymi odchodami. Oczekałem chwilę, aż woda wypłynie z mokrych butów, po czym ruszyłem za dwoma strażnikami, którzy rozprawiali inteligentnie w ciasnym korytarzu. Dostałem się do komnat służby, a stamtąd prosto do właściwej części posiadłości.

Zawsze zastanawiałem się, co kieruje bogaczami, by mieszkać w tak wielkich, a zarazem zimnych i zapyziałych korytarzach? Starego Bafforda nieźle musi łupać w kościach. Może od tego dziadyga zrobił się tak podejrzliwy, wewnątrz bowiem krążyło mnóstwo gwardzistów. Rzekłbyś – strażnik na strażniku, gdyby nie brzmiało to tak dwuznacznie. Przedostałem się po cichu do ogrodu, a stamtąd do korytarza patrolowanego przez kapitana w złotym uniformie. Odciążyłem go od niewygodnego klucza i zszedłem po schodkach do drzwi po przeciwległych stronach. Miałem mapę, wiedziałem, że idę dobrze.



Wewnątrz skuliłem się w ciemnym kącie. Znajdowałem się w obszernej sali wyłożonej kaflami. Wszystkie pochodnie były zapalone, a pod ścianą stał gong. Domyśliłem się, że strażnik stojący przed wejściem do wnęki szukał tylko pretekstu, by sobie porządnie pobębnić. A na to pozwolić nie mogłem.

Wyjąłem z kolczanu kryształ wodny, przywiązany do strzały. Napiąłem łuk i wycelowałem w jedną z pochodni. Z trzaskiem i sykiem przeciwniegi kąt zatonął w półmroku. Myślałem, że gwardzista dostanie ataku serca, albo w najlepszym wypadku popuści ze strachu. Wykorzystałem moment przewagi i wyskoczyłem z mroku, uderzając go ćwiekowaną rękawicą w skroń. Hełm zabręczał, zapewne tak jak stojący w kącie gong.

Zamroczonego strażnika odciągnąłem w zacieniony kąt. Wyprostowałem się i wkroczyłem do... sali tronowej. Nie dość, że głupi, nie lubiany i stary, to jeszcze pretensjonalny. No cóż... bez berła, leżącego na półeczce obok „tronu” nie będzie już władcą Miasta.

- Na sraczyku ci królować, dziadygo – mruknąłem, chowając berło za pazuchą. To samo pomyślałem, opuszczając włości przez boczne wejście.



NIM NADESZŁA ŚMIERĆ, ZMUSZONO KŁAMCÓW DO UCZTOWANIA NAD DŁOŃMI ZŁODZIEI, ZŁODZIEJE ZAŚ MUSIELI PRZEŁKNAĆ JEZYKI SWYCH KŁAMLIWYCH BRACI, A MY DZIĘKOWALIŚMY BUDOWNICZEMU ZA JEGO SPRAWIEDLIWE WYROKI.

-- ZAKONU MŁOTA KSIEGA DOKTRYN



...mam niŝe nadziejsi, ŝe nigdy nie dowiedzes siŝ o mojej  
obecnosci; gdy wrócisz go z niŝewiã. Co wãak nie zamie-  
rzam zrobiã...



Są chwile w życiu człowieka, kiedy musi, po prostu *musi* sobie poprzeklinać. Wyjątkowo plugawie i nieprzystojnie. Chwila taka nadeszła, gdy, w doskonałym humorze i z berłem pod pachą, odwiedziłem norę Cutty'ego, mojego pracodawcy, po to tylko, by dowiedzieć się, że Młoty zabrały go oraz Basso do Cragscleft. Co oznaczało, że pieniędzy za berło na oczy nie ujrzę.

Szczęśliwie, życzliwi, którym brak Cutty'ego również doskwierał, zasugerowali mi, żebym odbił tego starego, szczwanego lisa Młotom. Dobrze, że nie jadłem, gdy to usłyszałem, bo nastąpiłoby, że się tak precyzyjnie wyrażę, *grande vomit*. Rozumiem, że uważa się mnie za Mistrza, sam nieskromnie myślę o sobie podobnie, ale – na bogów – wdrzeć się do strzeżonego przez najbardziej fanatycznych religijnych oprawców więzienia i wydrzeć stamtąd dwóch ludzi...? W sumie... czemu nie?

Nabyłem mapę kompleksu od „zorientowanego”. Dorzucił mi gratis buteleczkę świećówki, napominając o plotkach, jakoby kopalnie pod więzieniem były nawiedzone. Przyjąłem to, jednak moja mina wyraźnie pokazała mu, gdzie takie plotki może sobie wsadzić. Nawiedzone, psia jego mać, pewnie.

Gdy w końcu stanąłem przed wejściem do starego, zalanego żółtą wodą kamieniołomu za Miastem, byłem już niezłe zmęczony przebytą dro-

ga. Złodziej nie może jednak narzekać – zanurkowałem w zimnej, brudnej jak ladacznice w Dokach cieczy.

Gdy płynąłem, coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że coś się w kopalni wydarzyło. Tu kilof, tam lampka – ludzie uciekali, zostawiając za sobą, co popadnie. Nie wierzyłem w bzdurne zabobony, jednak dla pewności przełożyłem fiolkę wody święconej z torby do kieszeni. Żwir zachrupotał pod podeszwami butów, gdy mokry znalazłem się w końcu w ciemnej i cichej kopalni.

*Bogowie, jaki tu spokój* – pomyślałem, idąc korytarzami. Jednostajnie drażąca gdzieś w skale kropla, pojękiwania zbutwiałego drewna, uciekający spod nóg żwir odbijający się od resztek torów, po których lata temu jeździły przewożące węgiel wózki – to jedyne dźwięki, jakie słyszałem... przez pierwsze kilka metrów. Potem doszło bzyczenie.

Cofnąłem się odruchowo, zakrywając ręką nos i łąwiące od smrodu oczy. Otoczony całunem much, przede mną rozkładał się prawdopodobnie jeden z górników. Ominąłem go jak najszybciej, nawet nie sprawdzając czy nie ma przy sobie jakichś kosztowności. Muchy, wielkie jak konie, zjadłyby mnie niechybnie.

Po chwilowym błędzeniu znalazłem się w obszernej, wykutej w skale kawernie. Dwie wielkie prądnice jednostajnym buczeniem oznajmiały, że nadal działają. Na lewo od nich stał zapełniony węglem wózek, a na środku leżały zwłoki. Szczęśliwie, bez much. Podszedłem do nich.

Od tego dnia zacząłem wierzyć w plotki i zabobony, oraz dorzucać żebraczkom i kwaciarkom parę groszy do kies. Zwłoki bowiem nie leżały spokojnie, jak to zwłokom przystało, gdy dotknąłem ich czubkiem buta. Trup zerwał się na ogołoczone z mięsa nogi i z okropnym wizgiem rzucił się na mnie. Myślałem, że serce wyskoczy z piersi i z wrzaskiem przepływnie wpływ z powrotem na powierzchnię.

Potknąłem się o wystający głąz widząc jednocześnie, jak truchło z przeraźliwym rżeniem wprost z nadgniłej krtani kieruje się pokracznie w moją stronę, wyciągając zakrzywione kości palców. Skoczyłem na

równe nogi i wyciągnąłem miecz. Jednym płynnym ciosem pozbawiłem truposza ręki, barku oraz chęci do dalszych uciech. Zwalił się na żwir jak wór pszenicy.

Oparłem się o miecz i oddychałem ciężko. Czytałem kiedyś o katalizmie w Mieście, o chodzących zwłokach pragnących cierpień żywych i takich tam, ale nie dawałem nigdy wiary. Jeśli dalej czekają mnie podobne niespodzianki, to może być ciężko.

Na wyższy poziom wspiąłem się po resztkach mostu, do których dostałem się poprzez dziurę na prawo od prądnic. W okolicy była winda, ale nie miałem zaufania do stuletnich, zardzewiałych mechanizmów. Narobiłbym wiele hałasu, a to nie pomogłoby mi na pewno. Zwłaszcza, że wyższy poziom również nie spał.

Siedząc w cieniu, obserwowałem, jak wokół szybu chodzą żywe trupy, wydając przy tym paskudne, mlaszczące odgłosy. Rozszerzonymi oczami obserwowałem ciągnące się za nimi sznury jelit czy roje much, obsiadające pozbawione nosów twarze, z których spozierały martwo białe, pokryte kataraktami oczy. Puste, a zarazem pełne nienawiści do wszystkiego, co żywe. Nie licząc much.

Szczęśliwie, wokół było sporo mroku. Udało mi się przedostać przez śmierdzące, wilgotne szyby. W pewnym momencie natknąłem się na pułapkę-szkielet, którą jakiś dowcipniś ustawił na samym środku korytarza. Ledwo odskoczyłem przed wystrzeloną czaszką, która uderzyła w ścianę za moimi plecami. Słyszac zaalarmowane pojękiwania truposzy, rzuciłem się pędem do przodu.

Gdy usłyszałem głosy żyjących, prawie się ucieszyłem. Dotarłem do zaznaczonej na mapie fabryki, w której Młoty wyrabiali swój oręż.

Jak mysz prześlizgiwałem się pomiędzy tymi ubranymi w czerwone kabaty ideowcami. Nie dziwota – przeciętny zakonnik Młota to prawie dwumetrowy, szeroki jak szafa byk. Jeśli dodać do tego fanatyzm wpajany przez lata w licznych świątyniach kultu Mistrza Budowniczego oraz ogromny młot w dłoniach, którym każdy z nich potrafił posługiwać się

z morderczą skutecznością, każdy zrozumie, że wolałem nie ujawniać swojej obecności.

Dzięki drewnianym podestom dostałem się do pomieszczeń, z sufitu których tkwiły dziwne wykrywacze, a stamtąd do cel więziennych, podzielonych na cztery sektory. W którymś tkwił uwięziony Cutty i Basso. Pytanie tylko, w którym? Strażnicy mówili coś o bloku czwartym... Sprawdźmy to.

*Pamiętaj, nigdy nie daj się złapać... bo wylądujesz w podobnym łajnie* – myślałem, zaglądając do pojedynczych cel. Więzienie było brudne, wilgotne, odgłosy zza krat dowodziły, że karmili tu nieregularnie, a i wychodków się w celach nie uświadczy. Na balkoniku stał Młot – dostałem się tam, jego samego potraktowałem niepostrzeżenie pałąką (*bogowie, jakie ciężkie chłopisko!*), a następnie, po ówczesnym sprawdzeniu w dowcipnie przez kogoś zatytułowanym jako „księga gości” woluminie numeru celi z Cuttym, otworzyłem ją mechanizmem.

Wyglądał okropnie. Ledwo trzymał się na nogach, nadtrawiony chorobą. Gdy delikatnie napomknąłem o zapłacie za berło Bafforda, szczywany lis zaczął bełkotać coś o mapie do grobowców w Bonehoard i spoczywającym tam skarbie. Nie dokończył. Podtrzymałem go, gdy konał.

Mapę, wraz z paroma groszami i resztkami złodzieja, znalazłem w zalanej piwnicy. Odwiedziłem też kwatery oficerów, gdzie w sejfie znajdowało się parę kosztowności oraz wskazówki odnośnie tego całego Bonehoard. Basso, po dokonaniu podobnych procedur więziennych, wytargałem nieprzytomnego z bloku trzeciego. Zaczęła się mozolna wędrówka powrotna.

Ominęliśmy, a raczej ja ominąłem, z zalegającym Basso na ramieniu, Młotów stosunkowo łatwo. Gorzej było z kopalnią – głupio wpakowałem się wprost na dwóch umarłaków w szybie. Instynktownie upuściłem Basso i zakląłem plugawie, słysząc, jak bezwładnie upadł na resztki beczek, robiąc potworny hałas. Martwiaki ruszyły w moją stronę. Jednego zarabiałem mieczem. Drugi chwycił mnie za poły płaszcza, zionąc



w twarz zgnilizną, więc cięciem od dołu pozbawiłem go słodkich paluszków i głowy. W następnych rzuciłem w panice święconą wodą, nie wierząc za bardzo w jej działanie. Rzeczywistość jednak przekroczyła najśmielsze oczekiwania – fiolka rozbiła się, opryskując nadgniłych napastników, którzy z potwornym rykiem... wybuchli, zalewając korytarz resztkami zgniętego mięsa i czarną mazią. Chwyciłem Basso i zacząłem biec przed siebie, kątem oka widząc, jak nieumarły, którego zarabiałem jako pierwszego, powoli podnosi się z ziemi. Tuż przy szybie windy napotkałem kolejnego zombie. Nie bawiąc się w ceregiele, kopnąłem go wprost w klatkę piersiową. Rozbiła się jak stary arbuz, a trup wleciał do szybu. Nie liczyłem, ile spadał. Długo.

Wytarłem but i zbiegłem po żwirze na resztki mostu. Najtrudniej było przepchnąć Basso przez podwodny tunel – gdy w końcu wypłynęliśmy na powierzchnię, przywitałem promienie słońca wrzaskiem radości. Zrzuciłem z siebie Basso i ległem obok, głośno oddychając.

*No chłopaczku – pomyślałem – Cutty złośliwie umarł, zostawiając ci sprawę berła na głowie. A przy okazji pralni, którą za mnie opłacisz, bo tego smrodliwego odoru trupów chyba normalnie nie da się sprać.*

Gdy odpocząłem chwilę, zacząłem cucić nieprzytomnego.



...I GŁUPCY RZUCALI KAMIENI NA KAMIENI  
I WZNIEŚLI DRZEWIENNY DACH, MŁOTÓW PIŁY  
DARŁY SKÓRĘ Z DOBROTLIWYCH DRZEW...

...I ŚMIALI SIĘ Z DRZEWIENNEGO WŁADCY.

...I GDY PAN DOWIEDZIAŁ SIĘ O TYM, ZESŁAŁ  
SWOJE BESTYJE NA GŁUPCÓW...

...KTÓRE ZAATAKOWAŁY I MŁOTY CIĘŁY ICH  
BEZUŻYTECZNE CIAŁA I ZBUDOWAŁY MU DOM Z  
ICH GNIJĄCYCH SKÓR.

-- NIEAUTORYZOWANA PIOSENKA SZACHRAJA



...pomyślamy więcej o rajmie się tym Rogem, o którym  
wspomniał Felix. W sumie nie miałem czasu dozwolonego  
wzrostu, a każdy musiałem zapłacić za czepiec...



Dwie doby zbierałem informacje na temat tego miejsca. Można było Basso określić wieloma epitetami, jednak na pewno nie był niewdzięcznikiem – umożliwił mi dojścia oraz dość dobrze zaopatrzył. Z zakurzonych ksiąg w małym mieszkanku poleconego przez niego nauczyciela dowiedziałem się, że Bonehoard jest ogromnym kompleksem grobowców najbogatszych rodzin oraz podziemnych korytarzy. Tam właśnie znajdował się wspomniany przez Cutty'ego skarb – Róg Quintusa. Jako meloman nie mogłem przepuścić takiej okazji. Zwłaszcza, że paru paserów już zainteresowało się wspomnianym artefaktem.

Jak już wspomniałem, dostałem do dyspozycji całkiem niezły sprzęt. Strzały linowe, wypuszczające magiczny, wytrzymały sznur po wbiciu w drewnianą powierzchnię na pewno okazały się przydatne w eksploracji grobowców, dołów i innych nieprzyjemnych miejsc. Dodatkowo, nauczony przygodą w kopalni, uzbroiłem się w parę flaszek wody święconej od zaprzyjaźnionego kapłana oraz w kryształy ogniowe. Lepiej dmuchać na zimne.

Basso napomknął też o rabusiu Felixie, który z rejsą udał się na łowy do grobowca, oraz o dwóch cennych klejnotach – Sercu oraz Duszy. Warto mieć oczy dookoła głowy.

Gdy dotarłem na miejsce, było już po zmierzchu. Bonehoard z lotu ptaka było kołem ogrodzonym murem, na środku którego znajdowały się małe krypty oraz wejście do katakumb. Wspiałem się na starożytną ścianę dzięki wiszącym już linom z kotwiczkami – zapewne własność Felixa i znajomych. Trzeba będzie mieć się na baczności – i zeskoczyłem na dół.

Przed głównym wejściem leżał stary, na wpół rozłożony trup. Nawet nie chciałem sprawdzać, czy w Bonehoard też nie śpią, więc obszedłem go szerokim łukiem. Wszedłem do środka.

Ostrożnie stąpając po rozsypujących się deskach, doszedłem do wielkiej komnaty. Spojrzałem w dół – zombie, maleńki jak szmaciana lalka, człapał pokracznie pomiędzy resztkami kamiennych figur. Wbiłem w sufit strzałę linową, po czym przeskoczyłem tuż pod powalą na drugą stronę. Tam zeskoczyłem na dół. Powietrze było ciężkie, wyczuwałem stęchliznę. To nie był dobry znak.

Umarli dobrze bronili swoich skarbów. Pod skrzyniami, stojącymi na piedestałach, często ziały otwory, z których, po podniesieniu wieka, wystrzeliwał bełt. Za pierwszym razem ledwo uskokczyłem, przeklinając siebie za brak ostrożności. W wielu salach na podłodze leżały też stare zwłoki. Na potwierdzenie teorii rzuciłem z bezpiecznego miejsca w truchło kapłana Młota małym kamykiem. Mający nie żyć umarlak zawarczał wściekle, co utwierdzało w przekonaniu, że zakup wody święconej był dobrym pomysłem. Nigdzie jednak nie dostrzegąłem Felixa, co niepokoiło jeszcze bardziej.

W końcu dostałem się do wyżłobionego w skale tunelu. Na jego dnie zalegały butwiejące liście, zewsząd wyrastały fosforyzujące grzyby. Wiedziałem, co rzeźbi tak wytrwale w skale i żywi się takimi ściennymi wyrostkami. Widziałem wiele razy turnieje walk tresowanych ryjców, a kiedyś, jeszcze jako szczeniak, wraz z kilkoma wychowankami Opiekunów znaleźliśmy nad brzegiem ciało tego wielkiego, jaskiniowego gada. Nigdy jednak nie zetknąłem się z dzikimi osobnikami. Ruszyłem do przodu, ostrożnie stąpając po ściółce.

Pierwszego ryjca napotkałem dość szybko. Krępy, jak beczka, gad przesuwiał się wzdłuż tunelu, co chwilę zniżając łeb, jak krowa, by rozgrzebać pyskiem pokłady liści. Na szczęście wyminąłem go dosyć łatwo – gdy się odwrócił, zniknąłem w bocznej gałęzi tunelu.

Po drodze minąłem kilka większych pieczar, w których widziałem małe stada tych istot. Żaden mnie jednak nie zauważył ani nie wyczuł. W miarę, jak przemierzałem ciemne tunele, coraz wyraźniej dochodził mnie dziwny, jakby buczący, dźwięk... rogu. Ktoś grał? Felix? To by było bez sensu. O co więc chodzi? Zdjęty niepokojem, ledwo zauważyłem, że tunel niespodziewanie się kończy, by ustąpić miejsca ogromnej krypcie.

W ścianach, aż po sam sufit niknący w mroku, tkwiły sarkofagi z piaskowca. Wyrastające zewsząd wielkie kolumny również posiadały w sobie groby. Pomiędzy nimi, w ciemności, zauważyłem ruch. Wiedziałem, co to. Po zapachu.

Pierwszy błąd popełniłem dość szybko. Ukryty w cieniu, obserwowałem trzech truposzy ciągnących niezdarnie nogi, patrolujących nisze z sarkofagami. Gdy jeden przechodził zaledwie metr ode mnie, byłem spokojny – stwór nie miał połowy trzewioczaszki, a z jedyne ocalałego oczodołu świeciła pustka. Brakowało też nosa, nie mógł więc mnie zobaczyć ani wyczuć. A jednak. Gdy mnie mijał, nagle zatrzymał się, a głowa makabrycznie przekreśliła się z chrzęstem w moją stronę. Gdy wrzasnął potwornym głosem, ja już wystrzeliłem z mroku. Biegłem, ile sił w nogach, słysząc za sobą pochrząkiwania i wrzaski umarłaków.

W panice wbiegłem do szerszej, okrągłej sali z odnogami. Za sobą miałem kilkanaście nadgniłych chodzących zwłok, tutaj krążyła jakaś piątka. Pośrodku sali było ocembrowanie, dość wysokie. Nie mając wyjścia, chwyciłem się ustępu i wdrapałem, czując już na sobie resztki dłoni zombie.

Na górze odetchnąłem i spojrzałem w dół. Truposze stały, kierując w moją stronę zmasakrowane przez czas twarze. Kołysały się lekko lub

niezdarnie człapały, objijając się jak ślepcy o cembrowinę. Nie było różowo...

Wyjąłem z torby ognisty kryształ. Czulem w dłoniach ciepłe, rozgrzane szkło, pod którym tańczyły języki płynnego ognia. Rzuciłem nim w największą grupę zombie.

Kryształ rozbił się pod ich nogami, wybuchając i wypuszczając przy tym płynne, lepkie strugi. Truposzczaki zakrzyzczały nieludzko, ten, który stał najbliżej, zamienił się w parującą masę ścierwa, reszta, tłąc się jak pochodnie, rozbiegła się koślawo po sali. Jeden z nich wpadł na inną grupkę chcących pozbawić mnie krwi zombiaków, podpalił ich wysuszone resztki, po czym upadł skwiercząc. Jeden wielki Armagedon. Korzystając z zamieszania zeskoczyłem z cembrowiny, silnym kopniakiem pozbawiłem pionu stojącego najbliżej zombie i skoczyłem w bok. Wbiegłem po podeście jak mogłem najszybciej, wprost na wyższe poziomy grobowców.

Błąkałem się po pomostach, odwiedzając coraz to nowe sale i zabierając z nich kosztowności. Znalazłem nawet dziurę w ścianie, przez którą mogłem wyjść na powierzchnię po skończonej misji. W pewnym momencie jednak ocalały z masakry żywy trup zaczął mnie ścigać, wyjął potępieńczo. Wbiegłem do nie odwiedzonego jeszcze pomieszczenia i zobaczyłem, jak w moją stronę mknie ognisty pocisk. Uskoczyłem na bok, gdy uruchomiony mechanizm wypluł z siebie jeszcze jeden, dosłownie rozczłonkując truposzczaka, który właśnie ukazał się w wejściu. Patrząc na dymiące szczątki, pomyślałem tylko: chwała pułapkom.

Znalazłem też paru ludzi Felixa. Czarne, wykręczone kształty na ziemi miały poprzegryzane gardła, wyżarte nosy i uszy. Jedyne, co mogłem zrobić, to pokropić ich wodą święconą.

Ach, naturalnie udało mi się zdobyć dwa kryształy – Serce i Duszę. Nie było z tym wielkiego problemu – wszelkie wskazówki na temat pułapek ochraniających klejnoty oraz ewentualnych niebezpieczeństw udało mi się wyczytać z ksiąg. Co prawda, zadziwił mnie szkielet Młota, który



pojawił się znikąd przy próbie pochwylenia Serca, jednak zanim mnie zauważył, zniknąłem w mroku.

Podążając za dźwiękiem Rogu doszedłem do szerokiej pieczary. Nim się zorientowałem, wyrosło przede mną stado ryjców. Słyszałem o ich technice zabijania poprzez duszenie przeciwnika trującym gazami, wydobywającymi się wprost z ich paszczy, byłem więc przygotowany na straszną śmierć. Gady nie zwróciły na mnie jednak najmniejszej uwagi, stały jedynie pomrukując i kołysząc się w rytm muzyki Rogu. Cudownie...

W pieczarze było wejście do krypty, w której, dzięki drabinom, wspiąłem się prawie pod sam sufit. Tam na piedestale leżał Róg. Naprawdę piękna rzemieślnicza robota. A najdziwniejsze było to, że wydobywała się z niego muzyka, pomimo braku trębacza. Ale, sami pewnie spytacie, jak coś takiego może zadziwić kogoś, kto przed chwilą podpalił parę chodzących umarłaków, po czym ominął stado dinozaurów?

Przestraszyłem się w momencie, gdy podniosłem Róg z zamiarem zważenia go w dłoni. Momentalnie nastąpiła natrętna, straszna wręcz cisza. Stałem jak wryty, nasłuchując. Nic, żadnego dźwięku. Żadnej melodii, uspokajającej ryjce. Dmuchałem w ustnik – bez skutku. Po prostu pięknie. Schowałem artefakt do torby i szedłem po drabinkach.

Ryjce krążyły po całej pieczarze, nie stały już i nie kołysały się. Gdy mnie zobaczyły, zaświdrowały wręcz przyjaźnie. Na szczęście głupkiem nie jestem i zacząłem szybko biec, unikając mniej przyjaznych żółtych kłębów duszącego, gryzącego gazu, który momentalnie spowił pieczarę. Wybiegłem na pomosty i zacząłem zbiegać na dół. Już uśmiechałem się do siebie na myśl o pieniądzach, gdy przede mną wyrosło kilka żywych trupów. Wybitnie niezadowolonych z zakłócenia im spoczynku.

Nie wiem, czy zombie mogą odczuwać jakieś uczucia z racji posiadania śmierdzącej papki zamiast mózgów, jednak te przede mną na pewno doznały uczucia zaskoczenia. Przez kilka sekund wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, po czym czwórka z nich zawyla potępieńczo – piąty

nie posiadał żuchwy oraz żadnej miękkiej tkanki wokół szyi, jestem jednak pewien, że dzielnie próbował potępieńczo zawyc – i ruszyła na mnie. Za sobą słyszałem świergotliwe odgłosy ryjców. Wyciągnąłem miecz, gotów bronić swojego życia, stała się jednak rzecz niesłychana – zombie zwyczajnie mnie zignorowali, przeszli obok, zostawiając za sobą jedynie smród. Odwróciłem się. Żywe trupy okrażyły jednego ryjca i rzuciły na niego, atakując zębami, palcami bądź resztkami kończyn. Pożerany żywym gad zakwilił jak ludzkie dziecko. Niestety, altruistą nie jestem – wykorzystując sytuację, zbiegłem na dół. Rzuciłem się w stronę otworu, będącego moją drogą ucieczki, kątem oka zauważając jak wysoko na rampie ryjce roztrzacają masywnymi ogonami zombiaków jak pionki szachowe. Przeczolgałem się na świeże powietrze, wspiałem z powrotem po murku, i sprintem oddaliłem się z tego przekłętego, zapomnianego przez bogów miejsca. Ktoś będzie mi musiał sporo za ten trud zapłacić...

STAROŻYTNA KORUPCJA ZNÓW ZOSTAŁA POWSTRZYMANA. UCZYNIĆ WIĘCEJ, ZNACZYŁO NARUSZYĆ RÓWNOWAGĘ, LECZ WIEDZIELIŚMY, BY ZAWSZE CZUWAĆ, ABY NIE POJAWIŁA SIĘ ZNOWU. NIE MOŻNA POKŁADAĆ NADZIEI W TYM, ŻE POGANIE CZY ZAKON MŁOTA NIE BĘDĄ SIĘ WTRĄCAĆ.

-- ROCZNIKI OPIEKUNÓW



..Farkus jest jednym z wielu kupców, którzy wpełniają  
sprzedaż niezależnym, takim jak ja i jego ceny są wygó-  
rowane... lecz w innym przypadku musimy po prostu  
jednemu z tak zwanych "Patronów", by dawał mi zle-  
cenia... i brał część z moich dochodów...



Z posłańcem, wyjątkowo mrukliwym i ponurym typem, spotkałem się w bramie przy rynku. Gdy wyciągnąłem Róg z torby, zaświeciły mu się oczy. Oby transakcja przebiegła pomyślnie, jedną rękę trzymałem pod połą płaszcz, prosto na małej, ale jakże skutecznej kuszy. Naturalnie, on zrobił tak samo. Jednak obyło się bez szczęku cięciw.

Z pełną sakwą siedłem przez Miasto, pogwizdując lekko. Czyżby w końcu wracał do mnie fart? Wstąpiłem na ciepły (w końcu) posiłek do jednej z gospod niedaleko Auldale, po czym wróciłem do domu i zasnąłem. Wieczorem wyszedłem znowu. Na zakupy.

Jestem typem, który nie przepuści dobrej passie. Na cel obrałem sobie nową, wciąż pachnącą świeżością świątynię zakonników Młota, zbudowaną w centrum. A jako że mogłem się teraz porządnie obkupić w przydatny sprzęt, udałem się przedtem do Farkusa.

Farkus to najdroższy kupiec w Mieście. Wielu złodziei po prostu nie stać na jego, fakt faktem, fenomenalne wyroby. Gdy wszedłem do małego, obskurnego sklepiku, uśmiechnął się obleśnie ukazując rząd złotych zębów w górnej szczęce. Błysnął łysiną oraz wielkimi okularami, po czym zaprosił do targów.

W torbie wylądowały nowiutkie wytrychy, zaś sakwa uszczupliła się nieco. Gdy uściśniłem mu prawicę, stało się coś niespodziewanego. Do

sklepu, wraz z szybą, wpadł belt od kuszy. Starzec zacharczał, gdy śmiertelny pocisk przebił mu pierś, ja sam instynktownie padłem na ziemię, wzbijając spomiędzy desek chmurę kurzu wysoką na sążęń. Skuliłem się, dobywając sztyletu, gdy doszła mnie rozmowa. Belt przeznaczony był dla mnie, a dwóch skrytobójców właśnie oddalało się, pewnych sukcesu. Nie lubię skrytobójców... A teraz sprawię, że oni przestaną lubić mnie.

Wziąłem parę przedmiotów, jako że Farkusowi już by korzyści nie przyniosły, po czym opuściłem sklepik, widząc w oddali znikające za rogiem dwie ciemne sylwetki. Czas na mały spacer, świątynia Młotów będzie musiała poczekać.

Trzeba przyznać, że napastnicy znali się na swoim fachu. Wiele razy odwracali się, wypatrując ogona. Wiele razy wstrzymywałem oddech z plecami przy ścianie, pewien, że mnie dojrzel. Na szczęście nie spodziewali się kłopotów, więc te pseudo-czujki były zapewne odruchem nabytym. W końcu doprowadzili mnie do posiadłości, na widok której zazgrzytałem aż zębami. Sam pan Ramirez zainteresował się moją osobą? Czas odwzajemnić ciekawość. I pozbawić go sakiewki. Uwielbiam testować swoje umiejętności.

Nie wiecie kim jest Ramirez? Służę wyjaśnieniem. Mówiłem o Baffordzie, że jest zblazowany, pretensjonalny i obrzydliwie bogaty? No więc Ramirez przebija go dziesięciokrotnie. Zazwyczaj unikałem zadań, w których wymieniano jego imię, jednak tym razem nie mogłem tego tak zostawić, wszak jego draby dokonały na mnie zamachu. Gdy zniknęli we wrotach posiadłości, ostrożnie wszedłem do ogrodu. *Czerwony żwirek? Bogowie...*

Na murach stali strażnicy, pluający z nudów do mini-fosy i drapiący się leniwie po zadkach. Przemknąłem obok żywopłotu i wszedłem do małego pomieszczenia. Kręcone schody doprowadziły mnie do okna, z którego miałem wprost idealną okazję do skoku na balkon. Tak też zrobiłem. Przetestowałem moje nowe wytrychy – sprawiły się bez zarzutu.

Sypialnia Ramireza sprawiała imponujące wrażenie. Wszędzie wały się złote kieliszki i talerzyki, którymi skwapliwie się zaopiekowałem. Ktoś kiedyś w karczmie powiedział mi, że za kominkiem Ramirez trzyma srebrny pogrzebacz – i proszę, sprawdziło się! Jak tu nie słuchać pijanych?

Posiadłość była ogromna. Czy wszyscy wielmożni mają pewien... kompleks... mniejszości? Odwiedziłem chyba setkę pokoi – a to pokoiki gościnne, a to pokój z obrazami, a to marmurowe łazienki. Oparszywieć można. Na dodatek wszędzie kręcili się strażnicy. Dzięki kradzieży paru kluczy dostałem się na niższe poziomy. Tam spotkałem dwóch znajomych mi już drabów. Ledwo powstrzymałem się przed dzieleniem ich po głowach pałką.

Podśluchałem też parę rozmów. Jakieś plotki o nawiedzonych dzielnicach, a także to, że słudzy nie przepadali za „Jego Tłustowatością”. Jest chamski, śmierdzący i dobiera się do służek. Dodatkowo, co chwila dźwiękiem dzwonka daje znać służbie w kuchni, by przyniosła mu posiłek do piwnicy, w której całe dni przelicza swoje pieniądze. Interesujące. Dostałem się do kuchni i ruszyłem za wbitym w przyciasny kostium sługą, niosącego tacę w trzęsących się dłoniach. Zszedłem za nim do podziemnych korytarzy, i tam właśnie wpadłem na genialny pomysł – mocnym uderzeniem w kark pozbawiłem go przytomności, chwyciłem tacę, by nie narobić hałasu, po czym zaciągnąłem ciało do małej spiżarenki z winami. Tam zdjąłem z niego łachy służącego i narzuciłem na własny grzbiet. Minąłem dół z dwoma tłustymi ryjcami – fanaberie bogaczy nie przestaną mnie zadziwiać, słowo daję – i dotarłem do celi, w której sknerus puszył się swoim bogactwem. Przed wejściem zostawiłem swoją torbę, poprawiłem jeszcze raz strój, i wszedłem do środka.

Bogowie, co za tłusty grzyb. Patrzysz i nie wiesz – żywy czy wypchany. Na dźwięk moich kroków odwrócił nieznacznie głowę od kartki z rachunkami i nie znoszącym sprzeciwu głosem polecił mi postawić tacę obok. Niezwłocznie to zrobiłem, a gdy pochylałem się nad stołem, zręcz-

nym ruchem pozbawiłem go sakiewki. Wyszedłem w ukłonach... i z ogromnym uśmiechem na twarzy. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie uczyniłem.

Wziąłem torbę sprzed wejścia i ruszyłem z powrotem. O dziwo, nikt mnie nie zaczepiał. Dopiero w ogrodzie usłyszałem walenie w gong i głośne wrzaski „ALAAAAAARM, KURWAAAAAA!” i tym podobne. Wybiegłem z olbrzymiego domostwa, podniosłem pokrywę ściekową i niezauważony wskoczyłem do środka. Z uśmiechem przywitałem odgłosy bezwładnej bieżaniny nad moją głową i przeplatane przekleństwami rozkazy. Kanałami też da się wrócić do domu, znam drogę. Ale najpierw się, cholera, przebiorę...



BUDUJE WASZE DACHY Z MARTWEGO DREWNA. WZNOSI WASZE MURY Z MARTWEGO KAMIENIA. TWORZY WASZE SNY Z MARTWYCH MYŚLI. WRACA PŁACZĄC, ŚMIEJĄC SIĘ, TAŃCZĄC ZNÓW DO ŻYCIA, ODBIERA, CO SKRADLIŚCIE I WRZESZCZĄC ZDZIERA SKÓRĘ, Z WASZYCH MARTWYCH KOŚCI.

-- GLINIANA TABLICZKA  
W OPUSZCZONEJ ŚWIĄTYNI SZACHRAJA



*...celem jest magiczny miecz należący do Konstantyna,  
arystokraty i kolekcjonera...*



Nieziemsko zmęczony, głodny i śmierdzący kloaką Miasta wróciłem do swojej kamieniczki. Wstyd się przyznać, ale od razu, nie zdejmując nawet butów, ległem na posłaniu i zasnąłem. Dopiero po obudzeniu zajęłam się higieną.

Przez dwa dni odpoczywałem. Miałem wystarczającą ilość pieniędzy, by przeżyć, zacząłem nawet zastanawiać się nad przeprowadzką, jako że zajmowałem obecne lokum ponad miesiąc – długo jak na złodzieja. Z rozmyślań wyrwało mnie pukanie. Jakież było moje zdziwienie, gdy przed drzwiami zastałem młodą kobietę w sukni charakterystycznej dla sfer wyższych. Ki diabeł? Zleceniodawca czy ladacznica, opłacona przez życzliwych? Wpuściłem ją do środka, nie wyjmując jednak ostrza z rękawa. Sprawa wyjaśniła się dość szybko.

Viktoria, tak bowiem na imię miała kobieta, oznajmiła mi o możliwości niezłego zarobku. Zadanie było trywialne – wkraść się do posiadłości Konstantina i wynieść z niej cenny miecz. Przyjąłem zlecenie, wymieniając odpowiednią kwotę. Viktoria zaś, nie dając się skusić złotym winem L'abrec wprost z piwnic lorda Stentorusa, powiedziała, że wróci za kilka dni, gotowa odebrać miecz. Wyszła, zostawiając mnie z rozmyślaniami.

Konstantyn... Nawet najlepsze ogary z najciemniejszych spelun nie mogły rzec zbyt wiele na jego temat. Plotka głosiła, że był niezwykle bo-

gatym inwestorem i arystokratą. Sprowadził się do Miasta niedawno, zajmując olbrzymie domostwo, które na jego zlecenie remontowano od kilku lat, pamiętam to dokładnie. Kto wie, może kwota za miecz nie będzie jedyną, która wyląduje w mojej sakwie?

Budynek obserwowałem kilka dni, notując, o której następuje zmiana straży oraz oceniając przypuszczalne drogi patroli wokół posiadłości. Odkryłem też pokrytą dzikim bluszczem część muru, wprost idealną dla kogoś, kto chciałby się dostać do środka. Gdy byłem już gotów, zrobiłem zakupy, poczekałem na zmierzch i jak jaszczurka wspiałem się po wilgotnej, zarośniętej ścianie.

Zdawałem sobie sprawę, że wchodzenie głównym wejściem to automatyczne samobójstwo. Pomimo nieznamości strażników Konstantyna (uwierzcie mi, po kilku latach w moim fachu rozpoznaje się mordy gwardzistów, wypożyczanych tonami ze Straży przez bojących się o życie bogaczy – wie się, jak się nazywają, czy często zaglądną do butelki i któremu przyprawia się rogi. Ci zaś byli mi obcy) byłem pewien, że nie zareagują odpowiednio na zakapturzoną postać. Musiałem więc znaleźć inne wejście. Okazja nadarzyła się dość szybko – obok szerokiego balkonu, wysoko nad głową, tkwiła drewniana belka. Wyciągnąłem z kołczanu strzałę linową i już po chwili byłem na górze. Czas na zwiedzanie.

Światowiec, nie ma co. Na pierwszym poziomie, poza mrowiem strażników, znalazłem mnóstwo ciekawych dywanów i tapet, ozdobionych egzotycznymi ornamentami i znakami, zapewne wprost z krańców świata. Za ciężkie to wszystko było, aby wynieść, więc z bólem serca nie ruszyłem, zadowolając się jedynie złotymi zastawami i mieszkami złota. Przez otwór w suficie jadalni dostałem się niezauważenie na wyższy poziom. Tak dopiero zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia... jeśli nie z dendrofilem, to na pewno obłąkanym.

Powietrze było ciężkie, wypełnione zapachami żywicy, kolendry, spiżu oraz magnolii. Wszędzie latały chmury małych muszek, osiadając na ścianach, które jednak do końca ścianami nie były. Gdy dotknąłem ręką

jednej z nich, kolorowej jak tęcza, poczułem pod opuszkami palców ciepło i lekkie pulsowanie. To jeszcze nic. W pewnym momencie trafiłem do ogrodu, który wzbudziłby grymas zazdrości na twarzach szanownych profesorów z Instytutu Botanicznego niedaleko ratusza – wszystko wokół żyło, pod nogami ugięła się sprężysta zielona trawa, ściany spowijał bluszcz, w *rzeczce* płynącej ukośnie przez salę srebrzyły się małe rybki, a pośrodku rosło... drzewo. Tak wielkie, że w środku można by urządzić popijawę na kilka osób. Osobiście skojarzyło mi się z, wybaczenie wyrażenie, wzwiedzionym fallusem i po raz kolejny nasunęła mi się myśl o kompleksach bogaczy.

Strażnicy byli niezwykle czujni, jednak dzięki wszędobylskiej mgielce udawało mi się ich bez problemu omijać. Gdy w końcu wróciłem na wyższy poziom, zacząłem aż przecierać oczy ze zdumienia. Ten człowiek był szalony... to znaczy, pardon, „ekscentryczny”, jak zwykle się mawiać o bogaczach. Pomieszczenia z przyklejonymi do sufitu stołami i krzesłami, pokoje zwężające się i kończące miniaturowymi drzwiczkami czy korytarze wyłożone zakręcającymi we wszystkie strony kaflami to tylko niektóre rzeczy, których uświadczyłem. Wszystko to przypominało labirynt pełen pułapek, na końcu którego czekała nagroda. Lepiej żebym szybko ją znalazł, bo inaczej zwariuję w tym miejscu.

Na ostatni poziom dostałem się zielonym, zarośniętym mchem tunelem. Tutaj najbardziej się bałem. Zewsząd dochodził cichy chichot, szmery i szepty. Powietrze było ciężkie, przesycone pyłkami wydzielanymi z dziwnych, lekko poruszających się na wietrze roślin, choć nie odczuwałem żadnego powiewu. Zakręciło mi się w głowie, a oczy prawie same zamknęły. Nie napiszę, co mówiły mi głosy, bo będziecie się śmiali, a jedyne, czego nie toleruję, to wozaków i szyderców, jednak były to głosy tak piękne i zgoła bezpieczne... że przyśpieszyłem kroku, byleby tylko wyjść z tunelu. To były czary, a z czarami nie można żartować.

W końcu znalazłem miecz. Wirował, otoczony mgielką pośrodku obszernej sali, wokół której roztaczał się taras, na której stałem. I wszystko

byłoby w porządku, gdyby nie znajdowało się jakieś dziesięć metrów nad ziemią. No cóż, za darmo mi nie płacą.

Odczekałem, aż patrolujący strażnicy oddalały się i wziąłem rozpęd. Skoczyłem, modląc się do bogów, aby nikt mnie nie dojrzał. W powietrzu chwyciłem miecz, po czym jedną ręką złapałem się dziwnej rzeźby, nad którą lewitował cenny oręż. Nie tracąc czasu zjechałem na zadku po kręgach tworzących dziwny postument. Gdy znalazłem się na dole, schowałem miecz do wcześniej przygotowanej pochwy i wybiegłem stamtąd.

Zakląłem, gdy w jasnym korytarzu przede mną usłyszałem tupot i wrzaski. Zakląłem znów, gdy okazało się, że jedyną drogą ucieczki był ponownie zaczarowany, porośnięty mchem tunel, prowadzący w dół. Trzecie przekleństwo było ot tak, profilaktycznie. Wstrzymałem oddech i skoczyłem.

Niewiadomym sposobem, dość szybko znalazłem się na balkonie, którym dostałem się do środka. Niewiadomym sposobem, miałem niesamowitego farta, mijając strażników wręcz o cal. Niewiadomym sposobem, odpadł mi guzik od płaszcza. Niech to szlag trafi, pewnie przy chwytaniu tego pieprzonego miecza.

NADSZEDŁ CZAS TRWOGI. TRZEWIA ZIEMI  
ROZWARŁY SIĘ I MARTWI WYSTĄPILI PRZECIWI-  
KO NAM. NASZE OBREĆCZE Z ŻELAZA I MŁOTY  
Z KAMIENIA NIE ZATRIUMFOWAŁY I NIEKTÓRZY  
ZWAŃPILI W PLAN STWÓRCY. LECZ PIECZĘCIE  
TRZYMAŁY MOCNO I KILKU ZWYCIĘŻYŁO,  
A WĄTPIĄCY ZOSTALI ZŁOŻENI U PODWALIN  
NOWEGO SANKTUARIUM.

-- ZEBRANE LISTY KOWALA NA WYGNANIU



*...leżyst, który chce zdobyć Konstantynę znajduje się  
w opuszczonej katedrze Zakonu Miota...*





W domu obejrzałem dokładnie ostrze – fenomenalna robota rzemieślnicza. Rękojeść obita gadzią skórą idealnie przylegała do dłoni, najciekawsza jednak była klinga – opalizująco czarna, jak obsydian. Słyszałem o takich mieczach, robionych z metalu, który spadł z nieba. Wątpię, czy w Mieście ktoś jeszcze posiadał takie cacko. Aż żal było się z nim rozstać. Ale fach to fach.

Viktoria przysłała dwa dni później. Poleciała mi, by wziąć miecz i podać za nią.

Doprowadziła mnie do małego mieszkanka, na północ od mojej siedziby. Poleciała mi usiąść w wielkim fotelu i poczekać. Wykorzystałem chwilę nieobecności oglądając pomieszczenie. Największą ciekawość wzbudziły we mnie eksponaty na półce nad kominkiem – w półmroku nie mogłem dokładnie rozpoznać co właściwie się tam znajdowało, ale chyba tkwił tam zakonserwowany w słoju homunkulus oraz mała, wysuszona główka. Upiornie.

Viktoria wróciła i przedstawiła mi mojego zleceniodawcę. Zanim jeszcze wyszedł z cienia i uśmiechnął się, zanim cokolwiek powiedział, wiedziałem już że to...

- Konstantyn – rzekł starszy, ale dobrze zbudowany mężczyzna z siwymi kosmykami okalającymi łysinę, wyciągając sękatą dłoń. Ucisną-

łem ją, nie okazując najmniejszego zdziwienia. Prawowity właściciel miecza stanął naprzeciwko mnie, za nim w półmroku widziałem Viktorię. Uśmiechała się... dość dziwnie, przekrzywiając lekko jasną jak śnieg twarz otoczoną ciemnymi włosami. Konstantyn wyjaśnił mi, iż kradzież miecza z jego własnej posiadłości była testem, który rewelacyjnie zdałem. Poczęstował mnie również dość ciekawym w smaku brandy, której kielich podał mi, zatopionemu w fotelu. Gdy degustowałem trunek, zaproponował mi pracę.

- Nie będzie to łatwe zadanie, panie Garrett – rzekł, splatając palce i opierając na nich podbródek – Chodzi o uzupełnienie mojej... kolekcji, którą na pewno już pan zobaczył. Uzupełnienie o coś wręcz bezcennego – zawiesił na chwilę głos, zmarszczył czoło i kontynuował – Chodzi o perwien...

- ...klejnot – wpadła w dyskurs Viktoria, wciąż z dziwnym uśmiechem na twarzy. Zerknąłem na nią, po czym skierowałem wyczekująco wzrok na Konstantyna.

- Dokładnie jak pan słyszy. Klejnot o niezwykłej aparycji i mocy. Niestety, znajduje się w miejscu, do którego nie mam dostępu. W miejscu, do którego jedynie pan, ze swoimi umiejętnościami, mógłby się dostać.

- Ile? – odparłem, odstawiając na stół opróżniony kielich.

- Czysty profesjonalizm? – uśmiechnął się Konstantyn, powiększając tym samym zmarszczki wokół ust – Sto tysięcy.

Dobrze, że skończyłem brandy, bo gdybym pił, oplułbym stół i samego rozmówcę. *Sto tysięcy!* Za tą kwotę mógłbym leżeć na grzbiecie do końca życia.

- Nie wiem jak mógłbym odrzucić tak... interesującą ofertę.

- Cudownie. Viktoria wprowadzi pana w szczegóły.

Kobieta zaczęła mówić. A ja słuchałem, rozparty w fotelu.

\* \* \*

Sprawa wyglądała tak – miałem dostać się do opuszczonej części Miasta, zwanej Murem, w której centrum znajdowała się katedra zakonników Młota, a w niej tak pożądane przez Konstantyna Oko. Usłyszałem znaną mi już historię o dawnym, zagadkowym kataklizmie, który spowodował odcięcie części dzielnicy od reszty Miasta i zakrycie jej całunem milczenia, o walkach na ulicach, ogniu i panice... również o nieumarłych. Zadanie cholernie trudne, ale, na bogów, za taką cenę gotów jestem się go podjąć. Na dodatek dostałem ten wspaniały miecz... Ostrze, którego nie widać w mroku.

I oto stoję oparty o resztki ściany rozsypującego się budynku, tuż przy wielkim murze oddzielającym ten świat od tamtego, jakże bezpieczniejszego, w kieszeni tkwi poślódkła ze starości mapa. Przede mną znajduje się miejsce, w którym czas się zatrzymał, w którym wszystko zamarło ze strachu i grozy... krążącej po zniszczonych uliczkach morderczej grozy...

Spod nogi wystrzelił szczur, znikając błyskawicznie w szparze pod następnym niskim budynkiem z zapadniętym dachem. Wokół panuje nieznośna cisza, nawet cykady nie śpiewają. Na niebie nie ma nawet gwiazd... To nie będzie łatwe zadanie.

Wyruszyłem przed siebie, oglądając porośnięte domostwa, zaglądając do środka przez resztki okien. To, co się tu stało, pewnie nawet w polowie nie było odzwierciedlone słowami Viktorii i starymi zapisami. Nadgryzione przez czas i walkę miejsce... W jednym z domów znalazłem stare, wysuszone zwłoki, szkielet prawie. Po oględzinach zdałem sobie sprawę, że ciało nie leżało tutaj od lat. Ono tu przyszło i rozsypało się ze starości. Oby inne spotkał taki sam los.

Gwałtownie uniosłem głowę słysząc, tuż przy ścianie po drugiej stronie, ociężałe szuranie. Ostrożnie podszedłem do małego okienka i wyjrzałem. Ech, ja i moje szczęście...

Po ulicy przesuwiał się powoli martwiak. Pochrzakując, w jednej ręce trzymał wysuszone truchelko szczura. W drugiej zaś na wpół skonsumo-

wanego świeżutkiego gryzonia. Stwór miał na sobie resztki płaszcza, podobnego do mojego. Na rozerwanej szyi wisiał zaśnieżony amulecik Sh'erarii, mający chronić złodziei przed porażką. No cóż – temu amatorowi pozostawionych w domostwach skarbów jak widać los nie był łaskawy. Widocznie amulet trefny.

Gdy zniknął za rogami, wyszedłem z domu i ruszyłem według mapy. Po drodze mijały mnie zombie w różnych stadiach rozkładu – widziałem całkowicie pozbawione twarzy truchła sprzed wielu lat, ledwo przebierające ogolonymi z tkanki kończynami, a na jednym z małych placyków stał nieruchomo... martwiak w hełmie Straży Miejskiej. Na oko i nos kilkumiesięczny.

Im dalej się posuwałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że nie warto było nawet za sto tysięcy. Co prawda, w wielu domach znalazłem kosztowności, które wylądowały w mojej torbie. Co prawda, posuwałem się w odpowiednim kierunku, przez ulicę Rubinową. Ale, na bogów, *duchy*? Gdy szedłem obok powalonego budynku, z mroku wyszedł... kapłan Młotów. Szedł dziarsko ulicą, tak zwiewny, że mógłbym przez niego przeczytać napisy na szyldach. Twarz miał wykrzywioną w agonii, a gdy przeszedł obok, usłyszałem w głowie dziwny głos, jakby spod ziemi. Lamentujące jęki potępionej duszy... Byłoby poetycko, gdyby nie było przerażająco.

To nie koniec ciekawostek i niespodzianek. W piwnicy jednego z budynków był wyżłobiony w skale korytarz. Obecność ryjców była do przewidzenia, jednak w jednym z tuneli napotkałem coś, czego nigdy dotąd nie widziałem i nie chciałbym spotkać ponownie. Gdy usiadłem na chwilę, pewien, że nic mi nie grozi, z ciemności koślawo wyczłapała biała istota. Klekocząc, minęła mnie, ocierając masywnymi szczypcami o ścianę tunelu i skrzypiąc węzłowatymi kończynami. A najciekawsze było to, że szła wyprostowana jak człowiek. Uciekłem stamtąd natychmiast.

Droga prowadząca do Katedry była zawałona resztkami budynku, zbyt jednak wysokimi by się nań wspiąć. Chciało mi się wyć, jednak wziąłem się w garść i zawróciłem w poszukiwaniu innej drogi.

Ulice śmierdziały zgnilizną i strachem. Dotarłem do pawilonu, w którym kołysały się, skrzypiąc na nocnym wietrze, szyldy kramów. Budynki były prawie całkowicie ogołoczone, a wokół nich krążyły żywe trupy. W jednym jednak odkryłem drzwi prowadzące na odgradzony kratą cichy i spokojny placyk. Tam tkwił w ziemi wielki monument, znany z opowiadań Grób Obserwatora, mający przynosić szczęście. Nie mogłem ot tak odejść. Wysuplałem z sakwy kilka monet i włożyłem do cynowej miseczki, ostrzem sztyletu wyróżnałem też swoje imię obok tabliczki. Szczęście będzie mi potrzebne w tym przeklętym miejscu.

Wyszedłem i kiedy truposze oddaliły się grupa, przebiegłem przez drewniany most. Tam widniał drugi – zwodzony. Moje wprawne oko zauważyło nad nim kładkę prowadzącą do zacienionych drzwi. Wdrapałem się po wilgotnej ścianie i wytrychami otworzyłem stare zamknięcie. Wszedłem do środka.

Przedemną widniała piękna posiadłość. Zatopiona w mroku, wyglądała jak bryła, do której coraz to bardziej pomysłowi architekci doklejali nowe fragmenty. Podszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę – nic. Majstrowanie wytrychami również nie pomogło. Oczywiście, czystym przypadkiem poruszyłem nogą wycieraczkę i usłyszałem metaliczny chrzęst. Klucz był, dosłownie i w przenośni, pod nogami.

W środku panowała ciemność. Szedłem prawie po omacku, gdy natrafiłem ręką na poręcz schodów, użyłem ich. Na górze małe okienko wpuszczało trochę księżycowego światła, które zajaśniało zza chmur. I wtedy właśnie otworzyły się drzwi do jednego z pokojów.

Instynktownie wkomponowałem się w ścianę, obserwując uważnie, z dłonią na rękojeści. Z ciemności pomieszczenia wynurzył się ogromny, grzechoczący szkielet w lekkiej zbroi strażników zakonu Młota. Gdy stąpając ciężko przeszedł obok, w głowie rozbrzmiały mi potworne głosy,

krzyki, szepty... Uczucie było przerażające, chwyciłem się za skroń i zamknąłem oczy. Z salki wyszedł drugi kościotrup, dźwięki nasiliły się, po czym ucichły, gdy potwory zeszyły na dół, trącając trzymanymi w rękawicach młotami o barierkę schodów. Wbiegłem do sali, z której wyszły. Była to sypialnia. Obok łóżka stała skrzynia, a w niej wspaniała, kunsztownie wykonana i na pewno cenna obręcz. Schowałem ją do torby i, unikając stróżujących szkieletów, opuściłem domostwo.

Dotarłem na szeroki plac z mostkiem. Coś mówiło mi by nie przebiegać przez środek, i to coś nie pomyliło się. Spod ściany wypełził wielki pajak i skrobiąc długimi odnóżami po kamieniach, zlustrował kilkoma parami oczu otoczenie. Gdy wciągnął swój pękaty tułów z powrotem do nory, przemknąłem wąskim przejściem pomiędzy budynkiem a murem. Tam, poza kilkoma ryjcami, trafiłem na dziurę w ścianie. Przeczolgałem się na wielki plac i zobaczyłem ją.

Katedra zbudowana była na sporym kopcu, do którego prowadziła ogromna, żelazna brama. Słowo daję, nigdy nie widziałem większego budynku. Gdy podchodziłem do niej, czułem dreszcze na plecach. Wpatrywałem się w ciemne witraże i szyby, które jakby mówiły: „Odejdź śmiertelniku, podziwiał mój ogrom, ale nie podchodź”. Gdy zimny wiatr smagnął mnie po twarzy, wzdrygnąłem się i zdecydowanym krokiem ruszyłem do wejścia. Byłem już tak blisko.

Masywne drzwi do środka otoczone były figurami czterech aniołów. I oczywiście były zamknięte. Cudownie. Zacząłem obchodzić wielki budynek, licząc na niską ścianę bądź otwarte okno, cokolwiek. Odkryłem wybitą w murze dziurę, dość wysoko. Wdrapałem się do niej i uczepiłem palcami. Zajrzałem do nawy głównej. I serce podeszło mi do gardła.

Pomieszczenie było równie imponujące jak zewnętrzna część budynku. Na olbrzymiej posadzce leżały ciała, wokół nich krążyły szkielety w zbrojach Młotów, zupełnie jak te dwa napotkane w bogatym domu. A tuż przede mną, prawie na wyciągnięcie ręki, wirowało Oko.

To musiał być ten klejnot. Lewitował spokojnie nad kilkumetrowym postumentem w kształcie młota, migocząc do mnie i zachwycając widoki. Nietrudno domyślić się, skąd nazwa Oko. Artefakt wpatrywał się diamentową żrenicą w olbrzymią salę i we mnie. A kiedy przemówił, z wrażenia spadłem na dół.

Po raz kolejny tego dnia moja głowa rozbrzmiała głosem. Tym razem jednak był on, pomimo brzmienia jakby spod ziemi, z samego piekła, wyraźny i skierowany do mnie. Dowiedziałem się, że Opiekunowie zapieczętowali drzwi, a żeby odkryć zagadkę, należało znaleźć symbol, z którego dałoby się iluminować figurę ogniem. Potem zamilkł, a ja leżałem wśród ludzkich kości i starych, zbutwiałych liści, przełykając ślinę i oddychając szybko.

Wycofałem się na plac z pajakiem i ruszyłem mostem. Tam skoczyłem na wysepkę, na której tkwił żelazny znak dziurki od klucza. Stałem na niej i wypuściłem ognistą strzałę wprost w figurę rycerza z podobnym znakiem na kamiennej tarczy. Gdy zapaliły się tkwiące obok pochodnie, usłyszałem zgrzyt ożywionego mechanizmu. Zeskoczyłem i podbiegłem do otwierającej się kraty. Bojąc się konsekwencji hałasu, wbiegłem szybko do środka.

Oczywiście, miejsce chronione było pułapkami. Oczywiście, wszystkie bezpiecznie ominałem, znając techniki obrony Opiekunów. Znalazłem się w starej, zapieczętowanej bibliotece. Nie miałem czasu na przeglądanie woluminów stojących na półkach, zainteresowałem się tylko ogromną mapą Miasta z zaznaczonymi dziwnymi symbolami. Z listu obok dowiedziałem się o talizmanach otwierających wrota do katedry. Skopiowałem szybko mapę, list wpakowałem do torby. Obok znajdował się dziwny, kamienny klucz, który również zabrałem. Spieszyłem się, gdyż wiedziałem, że rumor spowodowany przez strzałę ognistą zaalarmował pewnie wszystko, co żyło... bądź nie żyło w dzielnicy. Tej nocy Oka jeszcze nie dostanę, należało wrócić do domu i tam spokojnie przeglądnąć to, co udało mi się zebrać. Talizmany... czym są talizmany? Z takimi myślami

opuściłem bibliotekę. Pół godziny później wspinałem się już po murze prowadzącym do mojego świata.



WIEDZA TYCH, KTÓRZY PRZYSZLI PRZED NAMI, NIE MOŻE ZOSTAĆ ROZPOWSZECHNIONA ANI ZAPOMNIANA. JEJ POTĘGA MOGŁABY ZOSTAĆ ŹLE WYKORZYSTANA W NIEWŁAŚCIWYCH RĘKACH, LECZ TAKŻE MOGŁABY ZAPOBIEC PRZYSZŁEMU KATAKLIZMOWI. WTĘDY ZDECYDOWALIŚMY SIĘ KULTYWOWAĆ JĄ DZIĘKI PISMOM ZABEZPIECZONYM W NIEZNISZCZONYCH MIEJSCACH.

-- ROCZNIKI OPIEKUNÓW



...Opiekunowie zapieczętowali wejście do miasta: szczeliny  
u dwóch rzeki; blisko wschodniego brzegu. Jeśli dokumenty  
u bibliotece mówią prawdę, dziurny kamień, który zwała-  
złemu może postawić do stworzenia pieczęci...



List wyjaśniał dokładnie, czym właściwie są i po co istnieją talizmany. Miały one odpieczętować bramę do tej przeklętej katedry, czego oczywiście się domyślałem. Kłopot w tym, że dwa z nich znajdowały się w posiadaniu Młotów, a dwa kolejne – w tym miejscu przeczytałem jeszcze raz, nie będąc pewnym, czy nie mam problemów ze wzrokiem – tkwiły ukryte w Mieście Królów, Karath-din, pochłoniętym przez ziemię.

Zasięgnąłem wiedzy paru mądrych ludzi i istotnie, okazało się, że pod Miastem *może* znajdować się coś takiego, jak resztki dawnej cywilizacji. Odkryłem nawet wzór mapy tego miejsca, który niezwłocznie skopiowałem. Opiekunowie w swojej księdze, porwanej wprost z biblioteki w Starej Dzielnicy, opisali dokładnie, gdzie znajduje się jedno z wejść do Karath-din. Spakowałem się więc i ruszyłem na południe Miasta, w okolice kanałów.

Przez pół godziny wodziłem nosem po wilgotnych, porośniętych zielonymi wtkami glonów kamieniach, budujących ściany obmywane wodą. W pewnym momencie kucnąłem na mostku i spojrzałem smętnie w żółtą wodę. Przypadkowy przechodzień zdziwiłby się niezmiernie widząc, jak postać przy barierce kładki nagle podrywa się na równe nogi, po czym skacze do kanału, od którego cuchnęło tak, że puszczało się bąka, by

odkazić powietrze. Przechodzień ten nie wiedziałby, że właśnie postać znalazła to, czego poszukiwała.

Wstrzymując oddech wyciągnąłem z torby kamienny klucz-zagadkę i przyłożyłem do wyźłobienia w ścianie, mającego ten sam kształt. Zadziało, ściana cofnęła się z chrrobotem, ujawniając podwodny tunel. Nabrałem powietrza, czując w piersi znanego mi, podniecającego diabełka zwiastującego przygodę, po czym zanurkowałem.

Woda w tunelu stopniowo oczyszczała się. Płynąłem przez jaskinie, w których śmigaly małe rybki, a ze ścian uchodziły wielkie bąble powietrza, kończące swój krótki byt w chwili zderzenia z wystającymi, porośniętymi glonami podwodnymi stalaktytami. Zaczęło brakować mi powietrza w chwili, gdy zauważyłem, że właściwie nie muszę nawet płynąć – prąd wody niośł mnie sam. Gdy zdałem sobie sprawę, dlaczego, przeszedł mnie dreszcz.

Szczęśliwie, jaskinia się skończyła. Podpłynąłem do krawędzi i starałem się jej chwycić, jednak silna, ściągająca bystrzyna powodowała tylko połamanie paznokci i poranienie dłoni. W końcu udało mi się nadludzkim wysiłkiem wypełznąć na brzeg. Leżałem przez chwilę, łapiąc oddech, po czym wstałem i spojrzałem wprost na huczący wodospad i ciemną, daleką kipieli dole, w której przygoda ta mogła skończyć się równie szybko, jak się zaczęła.

Znajdowałem się w okrągłej, ogromnej jaskini, z której ścian, jak jaskółcze gniazda, wystawały wielkie głazy, do złudzenia przypominające schody. Użyłem ich, a na górze ruszyłem wyciętym w skale tunelem.

Nagły syk i chrrobot za plecami spowodował, że odwróciłem się... i natychmiast zacząłem biec. Sądziłem wielkimi krokami uważając, by nie zawadzić głową w wystające skalne kawałki. Jeden zły ruch i mogłem skończyć jako obiad.

Za mną, sycząc wściekle, pędziło stadko pajaków – cztery białe, z zielonym na czele. Wszystko byłoby dobrze, gdyby jasne stawonogi nie były wielkości wyrosniętych szczurów... a zielony sporego psa. Psa, który rzu-

ca się na kark, wpija weń jadowite szczękoczułki, po czym owija wciąż żywą, acz obezwładnioną ofiarę w kokon i pożywia się nią przez długie dni. Stanowczo nie podobała mi się taka alternatywa.

W pewnym momencie zauważyłem, że ze ściany przede mną tryska strumień lawy. Nie zdążyłem wyhamować, zwyczajnie przeskoczyłem go, ładując pewnie na dwóch nogach tuż przed przepaścią wypełnioną także płynną skałą, wyszarpując jednocześnie miecz. Zielony pajak również nie zdążył wyhamować, jednak ze skocznością nie było już tak dobrze, jak u mnie – wwałił się wprost pod gorący strumień, który w okamgnieniu zmienił go w bezkształtną, parującą masę. Białe pajaczki były skoczne jak cholera, jednak niewiele im to dało – dwa odbiły się jak piłki od ścian i podzieliły los zielonego, dwóm kolejnym się natomiast udało – jeden zrobił to zbyt nadgorliwie. Celując w moją twarz, zwyczajnie przeleciał majestatycznie nad moją głową, wpadając do płonącej przepaści. Kolejnego odbiłem mieczem. Upadł parę metrów ode mnie, przeżąc swoje długie kończyny i pryskając zielonkawym płynem. Odwróciłem się i ruszyłem w głąb korytarzem.

Więc to jest Karath-din. Trzeba przyznać, robiło spore wrażenie. Ogromne, zbudowane z żółtych piaskowych bloków budowle przeglądały się w lawie jak wiejskie panny w bystrzynie strumyka. Minałem parę takich kolosów i wskoczyłem do otworu wybitego w ziemi, prowadzącego do ciemnych pomieszczeń.

Szybko odkryłem wiele dziwów – w sufitach poszczególnych sal tkwiły błękitne kryształy, które automatycznie oblewały pomieszczenie niebieskawym światłem, gdy doń wszedłem. Na początku zachwyciły mnie, po chwili zdałem sobie sprawę jak bardzo mogą przeszkodzić – nie dało się ich oderwać od sklepienia, a ich rozbłyśki mogły zaalarmować to, co tu żyło. Pytacie – przewrażliwiony jakiś czy jak? W zaginionym pod ziemią mieście? Chciałbym... jednak na środku korytarza znalazłem wielką, parującą jeszcze kupę. Były tu więc ryjce.

Faktycznie, parę gadów krążyło po kompleksie, jednak spora dawka cienia zapewniała bezpieczeństwo. Doszedłem w końcu do osiedla niskich, kwadratowych budynków. Tam usłyszałem głośny rumor. Ostrożnie sprawdziłem jego źródło i zobaczyłem grupę ryjców mordowaną przez ogniste istoty. Żywiołaki ognia, bucząc wściekle jak lewitujące gniazda os, metodycznie ostrzeliwały świergoczące płacziwie gady ognistą magmą. Korzystając z zamieszania, przemknąłem dalej.

Stwierdzam, że moglibyśmy się od starożytnych wiele nauczyć. Odkryłem teatr z kamiennymi ławami, na ścianach widniały interesujące, zatarte jednak freski, w wielu miejscach stały misternie rzeźbione kolumny. Jednak największym szacunkiem darzę ich za wyroby ze złota i szmaragdu – bogowie, co za piękne łupy udało mi się zebrać! Niechronione przez nadgryzione zębem czasu skrzynie, szybko lądowały w torbie. Uważając na krążące wokół żywiołaki, wydłubałem też nożem ze ścian interesujące błękitne, jak modre oczy pewnej ladacznicy z zamtuza „Na pieroga”, kryształ. Rewelacyjny, inteligentny lud.

Po dość długim „zwiedzaniu” odkryłem osiedle kamiennych mastab, zalewane przez lawę. Wdrapałem się na dach najbliższego i skacząc po nich, jak pszczoły z kwiatu na kwiat, doszedłem do niedostępnej obecnie części podziemnych korytarzy. Tam znalazłem to, czego szukałem.

Na ziemi leżał szkielet, owinięty resztkami płaszcza Opiekunów. Z notatek wokół dowiedziałem się, że to uczestnik ekspedycji, mającej ukryć talizmany. No cóż, życie bywa okrutne. Obok ciała leżał brązowy medalion. Wziąłem go ze sobą oczywiście – Opiekunowie na pewno będą chcieli odzyskać tę błyskotkę... za odpowiednią cenę.

Niedaleko kości odkryłem schody prowadzące w dół, do grobowca koś bogatego, jak mniemałem po rysunkach na ścianach. Niepokoili mnie cisza oraz to, że pochodnie były zapalone. Ale nic to. Wszedłem do środka.

Szedłem powoli wąskim korytarzem. Użyłem strzały linowej, by przeskoczyć wyrwę wypełnioną lawą. Zrobiłem to szybko, bo sznur zaczął się palić. Cholera, wracając będę musiał zużyć drugi.

Zszedłem po kolejnych schodach, i wtedy okazało się, że moje szczęście jest ogromne, wręcz niepojęte. Za plecami usłyszałem metaliczny zgrzyt, instynktownie padłem więc na wznak, a w następnej sekundzie olbrzymia, metalowa płyta oderwała się od sklepienia i przeleciała mi nad głową, przeczesując prawie włosy. Gdyby nie stare, zatarte mechanizmy pułapki, straciłbym głowę – dosłownie i w przenośni.

Grobowiec bez wątpienia należał do kogoś ważnego. Świadczyły o tym bogato inkrustowane sarkofagi i mnogość cennych błyskotek. W jednym z bocznych pomieszczeń znalazłem dziwną dźwignię. Coś mi mówiło, że może się przydać. Obok sarkofagu widniała wybita w ścianie dziura, w której chlupotała woda. Zajrzałem do niej i uśmiechnąłem się – na dnie leżała kamienna płyta z wyżłobionym na powierzchni symbolem fali. Talizman wody, jak mniemam?

Zadowolony, ruszyłem z powrotem. Radość zniknęła momentalnie gdy, stojąc w wejściu grobowca, usłyszałem niedaleki klekot. Skryłem się i wyjrzałem – wokół krążyło kilka istot, których przedstawiciela spotkałem w Starej Dzielnicy – humanoidalnych stawonogów z wielkimi kleszczami.

Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, jak ominąć stwory – poruszały się ospale, wręcz powolnie, nie chciałem jednak wystawiać ich na próbę – masywne szczytce budziły respekt i jestem pewien, że gdyby któryś mnie pochwycił, zostałbym w podziemnych kompleksach na zawsze.

Powoli przesuwalem się wzdłuż kamiennego murku okalającego zejście do grobowca. W końcu odbiłem się plecami od kamiennego bloku i zacząłem biec. Za sobą usłyszałem świdrujący pisk. Zerknąłem na chwilę do tyłu i zobaczyłem, jak dwa potwory, odpychając się od ziemi kleszczami, sadzą za mną skokami. Przeskoczyłem nad lawą, lądując na dachu mastaby, po czym z rozpędu wylądowałem na następnym. Rako-

ludy nie były tak odważne – wyhamowały przed gorącą masą i stały sycząc wściekle i kręcąc małymi główkami, wygrażając mi – tak! Zupełnie jak ludzie – szczypcami. Posłałem im obelżywy gest ręką (nie jestem pevien czy zrozumiały, zresztą nie interesowało mnie to), po czym dzięki mastabom przedostałem się do znanej już części kompleksu.

Krażąc po korytarzach, napotkałem jeszcze parę tych kleszczy cholerynych, psia ich mać, jednak udało mi się uniknąć ich wzroku. W jednej z sal zobaczyłem wielką maszynę, do której pasowała zabrana z bogatego grobowca dźwignia – mechanizm zajęczał, powoływany po latach do życia, a ja, dzięki metalowej kładce, która wysunęła się z jednej z odnóg, mogłem ruszyć dalej.

W jednej z jaskiń natrafiłem na przedziwny posąg. Stał, lekko przerzywiony, na małej wysepce otoczonej rzeką lawy, budząc przerażenie. Nie wiem, co właściwie przedstawiał, jednak, może przez zmęczenie, w głowie ujrzałem przerażający obraz – zakrwawiony ołtarz, uniesiony i nagle opadający rytualny nóż, martwe ciała leżące u podnóża figury... Odwróciłem od niej wzrok i otrząsałem się. Chora religia, tfu!

Ruszyłem po kamiennym występie, dostając się do olbrzymiej budowli, którą widziałem na samym początku. Nad wielkim placem krążyły dwa żywiołaki, ciągnąc za sobą, jak małe komety, dymiące ogony. Bojąc się wykrycia i podzielenia losu nieszczęsnych ryjców widzianych niedawno, przywiązałem do strzał kryształy z wodą, zazwyczaj służące do gaszenia pochodni, po czym oparłem je na cięciwie i wypuściłem. Żywiołaki zwyczajnie wyparowały z cichym pyknięciem. Przemierzyłem plac i udałem się do budowli po przeciwnej stronie. W środku zacząłem wspinać się po szerokich schodach. W pewnym momencie jednak stopnie urywały się. Konstrukcja była zawałona.

Obok było okno z wąskim, kamiennym gzymsem. Wgramoliłem się na niego i powolutku zacząłem przesuwając wzdłuż zewnętrznej ściany. Nie mam lęku wysokości, jednak świadomość, że mógłbym spaść wprost do ognistej lawy, a w locie jeszcze przemyśleć całe swoje życie, spowodowa-



ła, że oblał mnie zimny pot. W końcu dotarłem pod okno mieszczące się na wyższym poziomie. Nad nim tkwiła belka. Co prawda bałem się, czy wytrzyma mój ciężar, jednak udało się – dzięki strzale z liną dostałem się na górę. A tam, parząc sobie palce, porwałem wprost z płonącego postumentu Talizman Ognia.

Wracając do dziury, przez którą wpadłem do tego miejsca, zauważyłem, że z mojej torby wyraźnie paruje i dymi się – gorący talizman przepalał powoli materiał. Zakląłem i kucnąłem, wytrząsając go na ziemię. Krytycznym wzrokiem oceniłem torbę i jej zawartość. Jeden złoty pierścień stopił się zupełnie, a na dodatek, o dziwo, połowa materiału była naznaczona kręgami nadpalenia, a połowa, ta pod przegródką z talizmanem wody, mokra, parująca już od ciepła wywołanego przez gorący artefakt.

Szybko znalazłem rozwiązanie – przyłożone do siebie talizmany w ogóle nie reagowały, związałem je więc mocnym sznurem i wsadziłem z powrotem do torby, wraz z łupami. Udało się – gdy z wielkim trudem wypłynąłem w końcu w brudnym kanale, zmagając się ze ściągniętą siłą wodospadu, nic nie było już mokre, choć nadpalenia oczywiście zostały. Za sto tysięcy kupię sobie kilkaset takich toreb. Czas zabrać te dwa maleństwa do domu i poszukać następnych.



POŁOŻYWSZY NASZ HONOR JAKO TARCZĘ  
NAD ZIEMIĄ I POWIETRZEM, MUSIMY ZAWSZE  
BYĆ UWAŻNI. NIECH BĘDĄ W ZAMKNIĘCIU  
I BEZPIECZNE, LECZ ZAWSZE NA OCZACH WIER-  
NYCH. PRZYSZŁE POKOLENIA SĄ ZAKŁADNIKAMI  
NASZEJ TROSKI.

-- KAZANIE O TALIZMANACH



..coż, mój siś, że najciemniej jest pod latarnią. Pamiętaj-  
jse o tym, wejds głównym wejściem... przebrany za wart-  
cjusza zakonn Młota...



Kolejne Talizmany miały być w posiadaniu Młotów, a dokładniej w najstarszym i najpilniej strzeżonym sanktuarium w Mieście. Ze wstydem musiałem przyznać, że nawet ja nie zdołałbym tam odnaleźć artefaktów – budynek był silnie strzeżony dzień i noc, a na dodatek po brzegi wypełniony nowicjuszami, jako że to właśnie tam zakonnicy Młota zaczynający służbę bożą mieli odbyć przygotowania. I kiedy tak siedziałem w moim nowym, pachnącym żywicą pokoiku na poddaszu kamienicy przy placu Alcett, wpadłem na genialny pomysł. Nie zwlekając, udałem się do Basso.

Sposób był dziecinnie prosty, opierający się na zasadzie „najciemniej pod latarnią” – w przebraniu Młota miałem dostać się do środka główną bramą i tam trochę powęszyć. Basso załatwił mi stosowną odzież i broje (niewygodne jak cholera), a także legalny inaczej dokument, uprawniający mnie do odbycia nowicjatu w sanktuarium... oczywiście za stosowną opłatą. Cwany łotr wychodził widocznie z założenia, że pomoc przy Bonehoard spłacała jego dług. A szkoda.

W nocy, dwa dni po zebraniu Talizmanów z Karath-din, udałem się w stronę świątyni. Bałem się, i to nieziemsko – nigdy przedtem nie brałem udziału w takiej maskaradzie, pozbawiającej mnie przewagi i ele-

mentu zaskoczenia. Nie miałem przy sobie żadnego ekwipunku ani narzędzi, za wyjątkiem wytrychów. A na dodatek, strój pił pod pachami.

Powoli zbliżałem się do bramy głównej, widząc już stojącego obok strażnika.

- A dokąd to, dupku? – zawarczał wściekle, nierad widocznie, że jakiś zakryty płaszczem człowiek zbliża się do jego kochanego sanktuarium. Gdy odrzuciłem kaptur, ukazując uniform zakonnika Młota, twarz strażnika złagodniała trochę. Ale nie oczy.

- Nowicjat? – spytał, wysmarkując się w dwa palce i wycierając je w nogawkę.

Kiwnąłem głową w milczeniu. Zaletą bycia nowicjuszem w posłudze Zakonu był fakt, iż nie można było się odzywać.

- Pokaż papiery – polecił wartownik, wyciągając wielką jak patelnia łapę. Gdy wcisnąłem w nią dokument, rzucił okiem na pieczęć i złagodniał.

- Wejdz do środka, bracie, i niech Budowniczy kieruje Twą ścieżką – rzekł odmienionym głosem i wrzasnął na powrót chrapliwym – Otworzyć bramę!

Wszedłem do środka. I musiałem zdrowo nad sobą panować, by trzymać ręce przy sobie. Wszędzie bowiem błyskały ku mojej osobie jakieś kosztowności.

Zwiedzając sanktuarium, doszedłem do dwóch wniosków. Pierwszy – ci ludzie są nienormalni. Nawet w wychodku śpiewają psalmy i odmawiają modlitwy. Drugi – symbolizm w religii Młota pełni nadrzędną funkcję. Otaczały mnie czerwone gobeliny z symbolem narzędzia, witraże przedstawiały świętych Zakonu... z młotem, nad drzwiami niedostępnymi dla nowicjuszy widniały czerwone młoteczki, jednym słowem – wariactwo. Musiałem uważać, by nie zobaczono mnie, otwierającego takie drzwi. Groziło to „niewymownymi konsekwencjami, niech będzie pochwalone imię Budowniczego”. Rewelacja.

Zwiedzając dostępne kwatery, odwiedziłem relikwiarz. Tam, na piedestałach leżały dość ciekawe artefakty. Była nawet czaszka świętego Yory, jednego z budowniczych tego całego bajzlu zwanego religią Młota. Świerzyło mnie, by zabrać któryś i sprzedać na czarnym rynku kolekcjonerom, jednak opanowałem się i wyszedłem. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że w niedługim czasie odwiedzę przybytek nazwany imieniem Yory.

W bibliotece, zyskując pewność, że nikt nie idzie, otworzyłem wytrychami oznaczone czerwonym symbolem drzwi i wślizgnąłem się do środka. W malutkim pokoiku znalazłem instrukcję dotyczącą Talizmanów. Dowiedziałem się, że aby się do nich dostać, musiałem posiadać święty symbol. Po drugie, w przeciągu pięciu minut należało uruchomić pięć przekładni – jedną tam, gdzie rozwiązywane są ludzkie języki, kolejną w okolicy kamiennego drzewa, następną za piecem, przedostatnią obok jednego z braci, a ostatnią za czaszką świętego Yory. Nie miałem na razie pojęcia, co to dokładnie znaczy. Dodatkowo należało odczytać modlitwę do Budowniczego, aby zdjęć z talizmanów barierę ochronną, i to wszystko, dziękuję bardzo. Trochę się nachodzimy.

Na początek przeczesałem górny poziom w poszukiwaniu modlitwy i znalazłem ją na jednym ze stołów. Wpakowałem rulon za pazuchę i ruszyłem dalej. Święty symbol znalazłem w prywatnych kwaterach arcykapłana (staruszek nawet nie zauważył, jak wbiegłem i wybiegłem, chwytając pozłacany młot z jego szafki). Rozwinąłem ponownie instrukcję i zacząłem zastanawiać się nad lokalizacją przekładni.

Kuchnia i czaszka świętego Yory były oczywiste, ale co z resztą? Pokrażylem znów po kompleksie i odnalazłem wszystkie – kamienne drzewo to krzew przy murku w ogrodzie, maszyna rozwiązująca języki była madejowym łóżem w kwaterach nadgorliwego kapłana (słyszałem, jak zakonnicy szeptali o jego niezdrowych preferencjach), zaś dźwignia obok „brata” w rzeczywistości znajdowała się w mauzoleum. W przeciągu pięciu minut przesunąłem wszystkie, po czym ruszyłem po Talizmany,

znajdujące się, z tego co słyszałem, w odnodze na południu sanktuarium.

Istotnie, były tam, oddzielone od zewnątrz barierą, kratą oraz brakiem podestu. Dotknięciem czerwonego kafła symbolem sprawiłem, że wysunęła się kładka. Przesunąłem dźwignię, która stała się dostępna po zabawach z przekładniami, a tuż przy talizmanach odczytałem modlitwę. Bariera z sykiem zniknęła.

Oto leżały przede mną w małej celi. Jeden miał symbol góry, a przy dotknięciu pryskał iskrami, pulsując. Drugi natomiast był chłodny, jak kamień na wietrze. Niestety, gdy je wpakowałem do torby, stała się rzecz, której nie przewidziałem – zawył alarm.

Wybiegłem z sali jak mogłem najszybciej. Będąc na schodach, usłyszałem zbliżający się odgłos podkutych buciorów. Po chwili na dole pojawiło się pięciu roślących zakonników. Widząc mnie, unieśli młoty, a ich oczy rozbłysły. Co miałem robić?

- Bracia! – krzyknąłem łamiącym się głosem – Pomóżcie! Świętokradztwo! Tam! Złodziej!

Hałasując, minęli mnie, pędząc w stronę sali, w której do niedawna spoczywały ich Talizmany. A ja zbiegłem na dół, rad ze swojej mądrości i ich głupoty.

Później nie było już tak różowo. Wszędzie, przy akompaniamencie wyjącego alarmu, widziałem Młotów, uzbrojonych i gotowych do walki. Nie zwracali na mnie większej uwagi... poza arcykapłanem. Zdybał mnie w jadalni z dwoma zakonnikami za plecami.

- Ty! Znam cię! Nie jesteś nowicjuszem! Jesteś... – nie dałem mu do końca, błyskawicznie wysuwając do przodu pięść i z chrupotem miażdżąc mu nos, zanim zareagowali dwaj ochroniarze. Starzec stęknął tylko i chlusnął krwią z obu dziurek, ja zaś pchnąłem go na zaskoczonych Młotów. Wskoczyłem na długi stół, o cal unikając świszczącego młota. W następnej sekundzie mordercze uderzenie mogące przełamać na pół konia roztrzaskało blat w miejscu, w którym chwilę wcześniej stałem.



Wykorzystałem ten moment zachwiania, kopnąłem mocno w twarz drugiego Młota, po czym przepchałem się między nimi i runąłem w kierunku bramy głównej, w biegu zrzucając ciężkie, niewygodne naramienniki i pancerz. Widząc upragnione wyjście, przyspieszyłem, unikając zręcznie kolejnych ciosów. Przeskoczyłem przez masywny próg i zeskoczyłem z podwyższenia, wysokiego na trzy metry. Robiłem to nieraz, więc nic mi się nie stało. Zakonnicy, nie posiadający takiej wprawy, stali przez chwilę na krawędzi wygrażając mi i pomstując, po czym pobiegli, szukając innego zejścia na dół. Nie mogli mnie już jednak znaleźć. Na terenie Miasta to ja byłem królem.



I RZEKŁ: «CZYŻ NIE POWINNIŚMY UŻYĆ TEJ POTĘGI, JAKO NASI WROGOWIE UŻYLI JEJ PRZECIW NAM? CZYŻ NIE PRZYCINAMY ICH DZIKIE LASY W NASZE BELKI I DESKI? CZYŻ NIE UJARZMIAMY ICH ROZSZALAŁE STRUMIENIE, BY NIOŚŁY NASZE ŁODZIE?»

I W SWEJ MŁODOŚCI I SWEJ GŁUPOCIE BRACIA ODRZEKLI MU: «TAK, UŻYJMY JEJ.»

-- ZEBRANE LISTY KOWALA NA WYGNANIU



...nadszedł wreszcie czas, bym zdobył Okeo i dostarczyć je  
Konstantynowi...



Jeszcze nigdy tak intensywnie nie przygotowywałem się do misji. Odwiedziłem pasera, sprzedając łupy z Karath-din, a całą sumę zamieniłem na potrzebne strzały, kryształy żywiołów, fiołki z wodą święconą. Od znajomego maga, po kosmicznych wręcz cenach, nabyłem parę napojów leczniczych i eliksir szybkości. Ciekawe, czy zadziała, gdy otoczą mnie nieumarli.

Do Dzielnicy dostałem się tą samą drogą jak poprzednio – przez mur w okolicy Zaułka Pątników. Droga do katedry minęła spokojnie, jako że znałem już teren. Mówiąc więcej, była wręcz identyczna, poza paroma różnicami – szczur w dłoni mijającego mnie trupa w opończy złodziej-skiej stał się dość nieświeży, a zwłoki strażnika zgubiły gdzieś hełm.

Stałem przed wrotami katedry, wciągając zimne, kęsające wręcz mrozem powietrze. Mocno zadarłem głowę, by zobaczyć wieńczące wieże sakralnego budynku ornamenty. Wydawało mi się, że słyszę złowieszcze szepty, jednak zignorowałem to. W takim miejscu wyobraźnia płata nie-  
złe figle.

Cztery alabastrowo białe figury aniołów wpatrywały się we mnie smutnym wzrokiem, rozkładając ręce. Gdy umieściłem w ich dłoniach Talizmany, w głowie rozbrzmiał znany mi już, mroczny głos Oka.

*Wróciłeś człowieku... Przyniosłeś je, dobrze, bardzo dobrze... Wejź do środka, bez strachu... Strach czeka wewnątrz...*

Pchnąłem ramieniem wrota, które bez dźwięku ustąpiły. A ja znalazłem się w wąskiej, niesamowicie ciemnej kruchole. Przede mną widniały dwuskrzydłowe drzwi do nawy głównej, jednak po tym, co zobaczyłem niedawno przez otwór w murze, byłoby samobójstwem wchodzić właśnie tędy. Wybrałem drzwi na lewo ode mnie.

Ostrożnie stawiałem kroki po posadzce uważając, by nie potracić czegoś i nie narobić hałasu. W pokoju, w którego kącie stały gnijące resztki biurka, zauważyłem drabinę prowadzącą przez dziurę w suficie do pomieszczenia wyżej. Zbliżyłem się do niej i już oparłem nogę na dolnym szczeblu, gdy usłyszałem odgłos otwieranych drzwi nad głową. Po chwili do uszu doszły ociężałe kroki i upiorny, dyszący odgłos, a do nosa potworny, niszczący śluzówkę słodkawy smród gnijącego mięsa. Drzwi trzasnęły, gdy coś nade mną zamknęło je z powrotem.

Wdrapałem się na górę i ostrożnie pchnąłem drzwi ramieniem. Znalazłem się na podeście nad nawą, dzięki bogom odpowiednio zacienionym. Żywy trup, którego słyszałem, wchodził właśnie w przejście po drugiej stronie, w ciemności majaczyły jego jasne, poznaczone czarnymi dziurami plecy. Zrobiło mi się niedobrze, gdy zauważyłem w nich białe, ruchliwe czerwie. Odwróciłem wzrok i spojrzałem w dół, wprost na patrolujące towarzystwo.

Obok resztek ław leżały zombie, nie ruszając się. Między nimi ciężko stapały kościotrupy w wypłowiałych pancierzach zakonników Młota. Znowu usłyszałem koszmarnie szept, śmiechy i brzdęk łańcuchów. Po drugiej stronie nawy był pomost, identyczny jak ten, na którym się znajdowałem. A w prezbiterium, nad wielką figurą młota, wirowało Oko. Teraz tylko należało je złapać.

Spojrzałem do góry. Nad głową widniała wążutka belka, zapewne był to kiedyś podobny pomost, ale zawalił się, pozostawiając po sobie tylko rdzeń. Wypuściłem strzałę z liną. Gdy grot wpił się w drewno z cichym

młaśnięciem, stojący pode mną szkielet podniósł głowę i z potwornym, głębokim westchnieniem zaczął omiatać pustymi oczodołami ciemny podest. Byłem jednak w takim miejscu, że, nie wyczuwając niczego, opuścił potworną czaszkę i powrócił do bezcelowego dreptania po kaflach katedry. Ja tymczasem błyskawicznie wdrapałem się na belkę.

Lata treningu czyniły swoje. Inny człowiek w parę sekund straciłby równowagę i z wrzaskiem spadł na dół, łamiąc sobie kark, mnie jednak bieganie po wąskiej kładce nie sprawiało problemu. Pchnąłem drzwi i przez wąską sień dostałem się do odnogi, tuż obok figury młota. Klejnot był już tak blisko, że dokładnie widziałem soczewkowaty kryształ, otoczony wiankiem złożonych kolców, zakrzywionych jak nogi pajaka. Nie mogłem sięgnąć go ręką, był za daleko. Hen, wysoko nad młotem majaczyła w mroku kolejna belka. Już po chwili magiczny sznur rozwijał się delikatnie, łądując mi w dłoniach.

Wiedziałem, że muszę pochwycić artefakt niezwykle szybko, jako że wisząc na linie zostałbym od razu zauważony na tle wielkiego witrażu przez wszystko, co znajdowało się poniżej. Poplułem w dłonie, chwyciłem sznur i odepchnąłem się nogami, uczepony go jak pajak. Przeleciałem nad prezbiterium w momencie, gdy szkielety stały odwrócone, jedną ręką chwyciłem Oko i, będąc obok drugiej odnogi, puściłem sznur, łądując na twardej i zimnej posadzce.

Wepchnąłem klejnot do torby i przeszedłem przez bliźniaczą do poprzedniej sień, wychodząc na widziany wcześniej podest po drugiej stronie. Tam odezwało się...

*Masz mnie człowieku. Istotnie, wspaniała robota. Jednak... nie myślisz chyba, że pozwolę ci ot tak wyjść?*

Gdy ten potworny głos przebrzmiał, stało się coś okropnego. Usłyszałem wyraźnie, jak drzwi, do których odpieczętowania przygotowywałem się przez tyle czasu, zamykają się z trzaskiem. Jednocześnie klejnot rozbłysnął czerwonym światłem, przenikającym wyraźnie przez materiał. Wszystkie trupy na dole, zaalarmowane odgłosem zamykanych wrót, za-

charczały. Po czym jednocześnie skierowały pozbawione mniej lub bardziej mięsa twarze na pomost. W kierunku światła.

Padłem na wznak, zakrywając ciałem torbę. Istoty na dole wszczęły poszukiwania, słyszałem wyraźnie postękiwania podnoszących się z ziemi zombie, a jednocześnie trzaskanie drzwi, gdy szkielety rozlażyły się po całej katedrze. Po raz pierwszy mogłem z całkowitą pewnością powiedzieć, że wpadłem w niezłe gówno.

Wolałem nie sprawdzać, co kryje się za drzwiami niedaleko. Wyjąłem z torby zielony kryształ – Oko na szczęście przestało się jarzyć poświata, wyglądało teraz jak zwykły klejnot – po czym odkręciłem górną część i wysypałem magiczną zawartość na posadzkę nawy głównej. Nasionka przy zetknięciu z ziemią pękły, uwalniając zielone łodyżki, które w błyskawicznym tempie splotły się ze sobą, tworząc gruby, tłumiący kroki kożuch. Zeskoczyłem nań i, omijając w ciemności wlokące się, jazgoczące zombie, wskoczyłem w drzwi na lewo od figury młota.

Znalazłem się na błoniach katedry. W chaszczech zauważyłem ducha kapłana, identycznego jak ten krążący na terenie Dzielnicy, był tam też szkielet, metodycznie przetrząsający poszczególne krzaki wielkim młotem. Przemknąłem przez kamienny krużganek i skręciłem w prawo. Ledwo wyhamowałem przed resztką schodów. Wyglądało to tak, jakby ktoś specjalnie zniszczył stopnie, nie chcąc dopuścić, by to, co szwendało się na dole, weszło na górę. Zeskoczyłem i... napatoczyłem się wprost na ducha.

Wyciągnąłem opalizujący miecz Konstantyna, którego ostrze uprzednio natarłem pieczołowicie wodą święconą i, na lekko ugiętych nogach, zadałem cios. Ostrze, co było do przewidzenia, przeniknęło ze świstem przez astralę, ten jednak nawet nie poruszył się. Wtedy zauważyłem na jego pucułowatej twarzy, jakże innej od wykrzywionych widm, uśmiech.

- Witaj, nocny pielgrzymie – w głowie rozbrzmiał jego głos, zwyczajny, lekko rubaszny, jakże inny od dotychczas zasłyszanych – Nazywam się brat Murus. Widzę, że wylądowałeś w tym dawniej świętym miejscu, bez



możliwości ucieczki. Możemy sobie wzajemnie pomóc. Jeśli odnajdziesz dla mnie parę przedmiotów, niezbędnych w moim... hmm... przeniesieniu do lepszego świata, ujawnię ci, jak wy dostać się z tego pozbawionego już obecności Budowniczego miejsca.

Z dziwną miną wysłuchałem ducha – potrzebował różańca ze swojej skrzyni w barakach, świecy, księgi liturgicznej oraz świętego symbolu. Coś jeszcze, widmowy cwaniaku?

Udałem się dalej. Na szerokim dziedzińcu mijały się patrolujące szkielety i nadgniłe truchła, jęcząc i szurając po kocich łbach zniekształconymi stopami.

Wszedłem, uważając, w drzwi po lewej, które prowadziły do pomieszczeń z maszynerią. W jednym znalazłem ciężkie formy do odlewów. Jedną była w kształcie młota. Dzięki kadzi wytopiłem go. Jeśli to nie był święty symbol według przezroczystego widma w czerwonym kabacie, to nie wiem co nim było.

Po metalowych schodach wspiałem się na wyższy poziom maszynowni, wtedy usłyszałem ruch na dole. Jeden ze szkieletów przetrząsał pomieszczenia, kierując się ku schodom. Przemknąłem pod ścianą, gorączkowo szukając drogi ucieczki. Podłoga kończyła się, ale tuż obok wielkiego otworu w ścianie wystawał metalowy, skośny pomost. Sypnąłem na niego nasionkami tworzącymi wyciszającą warstwę, po czym skoczyłem nań i sturlałem się, zanim martwy wojownik Młota ukazał się w całej krasie na górze.

Wypadłem na nierównym placu. Spomiędzy kocich łbów wystawiały swoje główki trawy i małe, żółte kwiaty. Przy ścianie zewnętrznej fabryki stała malutka graciarnia, wypełniona resztkami wiader i szczotek. Na daszku znalazłem świecę. Zabrałem ją, słysząc jednocześnie, jak szkielet buszuje po drugiej stronie grubego muru. Po drabince dostałem się z powrotem na teren dziedzińca.

Krażyły tu też duchy, żaden z nich nie był jednak Murusem. Wszedłem do kolejnych drzwi. W sali, oprócz kości, znalazłem szyb, a na dole

niesprawną windę. Na lewo był portal prowadzący do jakiejś innej salki. Przeskoczyłem tam. Zszedłem po schodach i tylko smród gnijącego ciała uratował mnie przed śmiercią. Stał tam zombie, jego złamany kark spowodował, że głowa opierała się na ramieniu pod dziwnym kątem. Przeszedłem za jego cuchnącym ciałem z zażawionymi oczami, a na dnie skrzyni znalazłem pokryty plamkami rdzy klucz. Zabrałem go i wróciłem na dziedziniec.

Krażyłem po przykatedralnych budynkach, odwiedzając sale i powoli wiążąc całą tę historię w jedność. Drzwi, często wygięte pod wpływem ciosów, wywalone dziury w ścianach i ślady cięć na wielu człapiących korytarzami ciałach pozwalały stwierdzić, że to tutaj koncentrowały się walki żywych z umarłymi. Mogłem się tylko domyślać, że kłopoty zaczęły się od przywiezienia do katedry Oka. Prawdy wołałem nie znać.

W budynku imienia znanego mi już Yory znalazłem różaniec ducha. Panowało tam zatrzęsienie truposzy – nieraz, trzymając koraliki w dłoni, kulilem się za drzwiami, podczas gdy do pomieszczenia wchodził zombie, kiwając upiornie korpusem umiejscowionym na nagim, oblepionym zeschłymi ochłapami kręgosłupie. Nie wierzę w bogów, ale w takich chwilach instynktownie gładziłem sznur koralików kciukiem.

W pewnym momencie dotarłem do biblioteki. Miałem niebywałe szczęście – księga, której poszukiwałem dla Murusa, leżała na górnym poziomie, tuż obok stłoczonych regałów pełnych zakurzonych woluminów. Moje szczęście skończyło się w momencie, gdy zeskoczyłem na dół, na jeden ze stołów. Gdy uniosłem głowę, zobaczyłem jak w drzwiach wejściowych stoi potwór, błyskając upiornie wyszczerzonymi, żółtymi zębami.

Stałem bez ruchu, ściskając księgę, mając nadzieję, że istota nie widzi mnie, bo jak chodzący szkielec, z oczodołami wypełnionymi piachem, może widzieć? Myliłem się. Truposz w stroju zakonnika kłapnął nagą zuchwą, po czym zrobił krok do przodu. W tym momencie moja głowa eksplodowała bólem i upiornym śmiechem. Jęknąłem i upadłem na jed-

no kolano. Gdy otworzyłem oczy potwór biegł w moją stronę, unosząc młot. Wykonałem salto do tyłu, unikając potwornego uderzenia, w jednej ręce trzymając torbę, a w drugiej księgę, w locie odrzucając obie. Wylądowałem i wyszarpnąłem miecz.

Istota była przerażająco szybka i równie silna. Po kilku sparowaniach jego ciosów zacząłem zwyczajnie obracać się w piruetach, unikając świszczącej broni potwora, jednocześnie szukając słabego miejsca. W końcu pochyliłem się i zamaszystym cięciem przejechałem po nogach. Pod wpływem ostrej jak brzytwa klingi piszczcze pękły jak zapalki, szkielec stracił równowagę i upadł. Stałem nad nim i potężnym rąbnięciem rozpołowiłem czaszkę. W głowie po raz kolejny rozbrzmiał wrzask... po czym cisza. Zostałem tylko ja i dymiący z powodu wody święconej kościotrup. Pozbierałem strzały, które wypadły z kolczana podczas akrobacyjnego skoku, chwyciłem go za nogi i postępując z wysiłku przeciągnąłem ciężkie, grzechoczące ciało w ciemny kąt między regałami. Nie draśnął mnie, jednak byłem niezmiernie zmęczony. Zdjąłem lak z buteleczki z płynem leczniczym i jednym haustem wypilem zawartość. Odżywcza ciecz przywróciła siły.

Przed wejściem stał Murus. Poprosił, bym udał się na cmentarz, leżący za bramą niedaleko od dziedzińca, po czym zniknął z cichym pyknięciem. Przekradłem się tam i znalezionym w skrzyni kluczem otworzyłem sobie wejście na cmentarz. Jakby całe to miejsce nim nie było.

Pomiędzy nierównymi, rozsypującymi się nagrobkami wałęsały się, brodząc po kostki w zbutwiałych liściach, zombie. Przy jednym z grobów, zapewne swoim własnym, stał nieporadny duch. Poprosił mnie, bym powiesił na nagrobku różaniec, postawił na nim świecę, odczytał fragment z księgi (to zrobiłem szeptem) oraz dotknął płyty symbolem młota. Gdy to zrobiłem, Murus wydawał się wręcz wzruszony. Podziękował mi za podarowanie mu wiecznego życia, jednak poprosił o kolejne przysługi – miałem wynieść z katedralnego strychu oraz piwnicy zwłoki jego dwóch przyjaciół, Martello i Renaulta, a także zabić wszystkich skażonych złem

braci zakonnych. Astral miał cholerne szczęście, że był niematerialny, gdyż miałem ogromną ochotę splazować go mieczem. A jeśli i wykonanie tych zadań skończy się na zdawkowym „Dziękuję, śmiertelniku”, to już coś wymyślę, by szedł do rajy z połamanymi kulaskami.

Cóż było robić? Zacząłem przesuwac się z powrotem w stronę katedry. W środku trochę się uspokoiło – po sali krążyły trzy szkielety, a zombie zniknęły gdzieś, zapewne patrolując boczne pomieszczenia. Zaczaiłem się w mroku z mieczem w dłoni. Gdy tylko któryś przechodził obok mnie, ciałem go w kark uderzeniem znad głowy, przytrzymując potem, by zniwelować odgłos upadku. Ułożyłem ich nieruchome kształty za figurą młota. Ruszyłem na dół, w stronę piwnicy.

Pomieszczenia, w których kiedyś zakonnicy trzymali wino i kiszoną kapustę, teraz zalane były brudną wodą po kolana, na powierzchni której unosiły się resztki beczek i szklane butelki. Brodziło tam też paskudne, wzdęte ciało, wydzielające obrzydliwy fetor, jak zresztą wszystko w tym chorym miejscu, a także unosił się lekko duch, ledwo widoczny na tle ciemnych, wilgotnych ścian. Mam nadzieję, że gdy wyniosę stąd Oko, jego moc przestanie konserwować truchła i w końcu miejsce to dostąpi spokoju. Bogowie, mam nadzieję, że w ogóle je stąd wyniosę.

W jedynym suchym pomieszczeniu znalazłem zwłoki zakonnika, które mogły być tylko resztkami Renaulta. Były wysuszone na wiór, śmierdziały więc tylko stęchlizną, pomimo to ze wstrętem przewiesiłem je sobie przez ramię. Przeszedł mnie dreszcz, gdy na drzwiach do pomieszczenia zobaczyłem wyżłobione przez paznokcie ślady ukazujące rozpacz zamkniętego w środku zakonnika.

Ułożyłem jego truchło w okolicy resztek schodów na dziedziniec. Ruszyłem z powrotem do nawy głównej. Tam, dzięki strzałom linowym, dostałem się pod sam sufit. Otworzyłem drzwi i wszedłem na stryszek.

W środku śmierdziało szczurzymi odchodami, kurzem i terpentyną. A na podłodze leżało podobnie wysuszone ciało kapłana. Miałem małe problemy ze zniesieniem go na dół, więc przywiązałem go po prostu

sznurem do siebie i zjechałem po linie. Niezwykle zabawnie musiało to wyglądać.

Oba ciała były leciutkie, przewiesiłem je więc przez ramiona i ruszyłem na cmentarz. Murus czekał już przy dwóch grobach. Wrzuciłem jego przyjaciół do wykopanych dołów.

- Dobrze, bardzo dobrze. Zaprawdę, zasługujesz na szacunek – zapałał duch, przyglądając się wykreśnionym kształtom w dziurach – Teraz proszę tylko o jedno: ocal resztę braci zakonnych.

- Wszystkich? – uniosłem wzrok, omiatając nim przestrzeń cmentarza i dwójkę ożywieńców, którzy właśnie człapali niezdarnie przez sam środek. Murus uśmiechnął się z wyższością.

- Nie, nie, tylko dusze wyznawców Młota, w strojach z insygniami zakonnymi – odparł, kręcąc pogodnie widmową głową – Reszta to śludzy, stajenni i byli mieszkańcy dzielnicy, więc pal ich lichu.

Opuściłem cmentarz z mieczem w rękę. Typowe.

Jak ogar tropiłem szkielety i mordowałem ich niespodziewanym pchnięciem w kark. Wiedziałem, że jawna walka mogła spowodować tylko to, że kiedyś kolejny złodziej wskazałby mnie jakiemuś duchowi, a ten, widząc moje drepczące zwłoki, odparłby „pal go lichu”. Nie wdawałem się więc w potyczki i ceregiele, zwyczajnie rąbałem w plecy. Załatwiłem tak jakąś siódemkę czy ósemkę, poza jednym. Kroczył w lochach pomiędzy regałami spiżarni. Na tym wypróbowałem nowy zakup: strzały z nadpiłowanymi, rozszczepialnymi grotami, po sto dwadzieścia pięć za sztukę. Były iście zabójcze – z trzaskiem wbiły się w suchy mostek potwora, wychodząc w kilku miejscach plecami. Zachwiał się, a wtedy z mroku wyleciała jeszcze jedna, trafiając prosto w lewy oczodół. Trysnęło na boki fragmentami kości oraz świetlistymi odpryskami grotu, a szkielet padł na ziemię jak wór kartofli. Warte swoich pieniędzy, słowo daje.

Wychodząc z lochów, usłyszałem w głowie głos Murusa. Dziękował mi wylewnie, nie szczędząc pochwalnych epitetów. Polecił, by udać się

z powrotem na cmentarz i odebrać swoją nagrodę. Jakież było moje zdziwienie, gdy przekazał mi... klucz. Powiedział, że w zamkniętej zbrojowni na stryszku katedralnym znajdę coś, co pozwoli mi otworzyć masywną bramę klasztorną, będącą wyjściem bocznym do Dzielnicy. Po raz setny chyba ruszyłem do nawy głównej, a stamtąd, po linach, na stryszek. Nie chwając się, nawet zombie i duchy wymijałem z lekkim znudzeniem.

Stary zamek metalowych drzwi ustąpił, gdy kilkakrotnie przekręciłem w nim klucz. W środku znalazłem kryształą ogniste oraz ciężką, metalową półokrągłą strukturę. Kartka obok głosiła, że to bomba. Była za duża, by umieścić ją w torbie, przez całą drogę do bramy klasztornej trzymałem ją więc pod pachą. Położyłem ją pod masywnymi wrotami i cofnąłem się. Nie bardzo wierzyłem w pirotechniczne umiejętności Młotów, więc dość lekceważąco stanąłem parę kroków dalej i rzuciłem w bombę kryształem. Wybuch odrzucił mnie, spalił brwi i spowodował zanik słuchu na parę sekund. Wylądowałem na tyłku z wyjątkowo głupią miną, gdy nad głową z zatrważającą prędkością śmignął mi żelazny uchwyt od bramy i wbił się do połowy w ścianę za moimi plecami. Dym rozwiął się, ukazując smętne resztki po dumnej niegdyś, broniącej dostępu do sakralnego obiektu bramie. Nie zwlekając, wybiegłem na zewnątrz i zniknąłem w mroku zniszczonej uliczki.

*Masz mnie, człowieku, masz swoje cenne Oko. Co teraz z nim zrobisz?*

Jak to co? Wymienię na sto tysięcy!

Głupi, nie wiedziałem wtedy jeszcze, że z tym przeklętym klejnotem powiążą mnie nie tylko pieniądze.

TAŃCZYLIŚMY W RADOŚCI I ZWYCIĘSTWIE.  
Z NAMI DRZEWIENNY PAN BAWIŁ SIĘ GŁUPIM  
CZŁOWIECZKIEM NICZYM KUKIEŁKĄ. WZBURZAŁ  
SZTORMY Z KRZYKLIWĄ RADOŚCIĄ, CIEMNOŚCI  
W PRZERAŻAJĄCYM MROKU, WZNIECAŁ OGIEŃ  
W SZCZĘŚLIWEJ ŻĄDZY. TAŃCZĄC KARMILIŚMY  
ŻAŁOSNEGO GŁUPCA NA SZNURKACH, SYCĄC JE-  
GO PRAGNIENIE NASZYCH PODZIĘKOWAŃ.

-- OSTATNI FRAGMENT REKOPISU «NIEBYŁYCH»



...Opiekunowie... Lepiej, żebym się ruszył, zanim - czym-  
kolwiek to rzeźbę są - zmarłyjs dostawiać akcje ratun-  
ku...





- Nawet nie wie pan, panie Garrett, jak bardzo jestem zadowolony z wykonanego zadania – rzekł Konstantyn, obracając Oko w swoich wysuszonych, naznaczonych niebieskimi żyłkami dłoniach – Zwyczajnie brakuje mi słów. Niech Viktoria dokończy za mnie...

Znajdowaliśmy się w salonie ekscentryka, podpieranym przez kolumny z roślinnymi ornamentami. Pod nogami czułem dziwny dywan przypominający mech, a po ścianach pelzały tajemnicze, drgające cienie. Konstantyn siedział na krześle, a za nim jak zwykle stała w mroku Viktoria. Uśmiechnęła się do mnie. Ten grymas wcale, ale to wcale mi się nie spodobał.

- Taak, dostarczyłem klejnot, więc nadszedł czas na zapłatę, prawda?- odparłem, bawiąc się niedbale kłamrą od płaszcza.

- Prawda... Proszę, niech Viktoria ureguluje wszelkie... płatności – rzekł Konstantyn.

I wtedy się zaczęło.

Światło przygasło, a budynek wyczuwalnie zadrżał w fasadach. Starzec roześmiał się i odchylił głowę. Guzik ozdobnego kabata pod jego szyją oderwał się i świsnął mi nad uchem, ze stukotem uderzając w kolumnę, a on sam zaczął z obrzydliwym chrzęstem deformować się. Patrzyłem przerażony, jak z czaszki wysuwają się dwa lśniące czarne rogi,

tulów pecznieje, odkrywając pokryty włosiem tors, a spod stołu wysuwa się długi biały ogon. Gdy istota podniosła się, prawie dotykając paskudną głową sklepienia, już wiedziałem, czym była. Widziałem ją na starych rycinach w sanktuarium Młotów. Przede mną stał najzagorzalszy wróg zakonników, istota wielbiona przez pogan – Szachraj...

Podczas metamorfozy patrzyłem skamieniały na Konstantyna, ignorując Viktorię. To był błąd – gdy przeniosłem na nią spojrzenie, nie zobaczyłem już czarnowłosej, bladej kobiety w ciemnej sukni. Przede mną stała smukła istota o skórze barwy liści, z żółtymi taksującymi moje ruchy źrenicami. Na znak bożka wysunęła przed siebie rękę. Potężna siła pchnęła mnie na ścianę, usłyszałem dźwięk jakby łamanych konarów, coś walnęło mnie w szczękę. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, iż jestem owinięty przez pędy i gałęzie będące zwieńczeniem ręki driady. Cała sytuacja trwała tyle, w ile da się wypowiedzieć zdanie „Nigdy nie ufaj swoim zleceniodawcom”.

- Jeszcze raz muszę podziękować za wykonane zadanie, człowieku. Jednak obawiam się, że to nie koniec twojej roli. Oko jest... ślepe – rzekł dudniącym basem Szachraj, podchodząc bliżej. Popatrzyłem w dół, na wielkie kopyta, potem na koźło-podobną postawę oraz znak pogański pomiędzy rogami i pomyślałem, że wolałbym chyba znowu być w katedrze – Musisz nam użyzyć swojego. Viktorio?

Usłyszałem świst i poczułem okropny, rwący ból w czaszce. Krzyknąłem rozdzierająco, gdy pusty oczodół i twarz zostały zalane przez potok krwi. Otworzyłem ocalałe oko i zobaczyłem moją czerwoną gałkę w dwóch drewnianych szponach, wyrastających z drugiej ręki Viktorii.

*To sen, obudź się – myślałem – To się nie dzieje, nie czujesz bólu.*

- Owszem, to się dzieje, a ty czujesz ból – usłyszałem głos Szachraja. Nie wiem, skąd znał moje myśli i w tym momencie nie dbałem o to. Przejął od Viktorii jej „zdobycz” i przyłożył ją do klejnotu. Przedmiot błysnął i otoczył gałkę siateczką wypustek. Bożek uśmiechnął się.

- Ty ludzka larwo... Oko znów widzi. Dzięki tobie uda nam się powrócić w pełnej chwale. Świat znów padnie na kolana. Metal i kamień zginą pod naporem drzew, a człowiek przestanie być panem wszystkiego. Z powrotem nastanie nasz czas!

Viktoria podeszła do niego, objęła jedną ręką i wepchnęła język do jego ust. Dawno nie widziałem czegoś tak obrzydliwego, odwróciłem więc głowę. Szachraj to zauważył:

- Nie podoba ci się? Viktorio, masz może ochotę na tego człowieczka? – driada uśmiechnęła się, a ja poczułem między udami giętki, przesuwaną się po nich pęd. Po paru sekundach chlasnął mnie mocno, aż jęknąłem z bólu – Nie masz? Posiłą się nim więc nasi bracia. Będzie żywieniem i przysłuży się... tak... przysłuży...

Ostatnie słowa słyszałem jak przez grubą zasłonę. Krew wciąż lała się nieprzerwanym potokiem, napełniając usta metalicznym posmakiem.

*Tylko nie zemdleć* – myślałem – *Tylko nie zemdleć...*

Nie udało się.

\* \* \*

- Widzę go. Żyje?

- Żyje. Nasz brat jest silny.

Otworzyłem oko. Wisiałem przyczepiony pędami do ściany w tym samym pomieszczeniu. Całą twarz pokrywał krwawy skrzep, nawet nie próbowałem podnieść drugiej, pustej już powieki. W pokoju nie było już monstrów. Byli tam za to... Opiekunowie. Nie rozpoznawałem, kto dokładnie.

Poczułem zimny dotyk ostrza na dłoni. Żywe więzy zostały przecięte, a ja opadłem bezsilny na ręce Opiekunów. Posadzili mnie plecami przy kolumnie.

- Stało się. Uwolniłeś jedno z największych niebezpieczeństw. Będziesz je teraz musiał zniszczyć. Sam. Czuwamy nad tobą, nie możemy

jednak ingerować... – Nie dokończył, bo złapałem go ręką za szatę i przyciągnąłem do siebie. Twarzą do twarzy.

- Spójrz na mnie, sukinsynu! – syknąłem – Widzisz mnie? Widzisz? To coś wygląda jak cholerny kozioł na dwóch nogach, jest wielkim jak szafa bogiem pogan, a jego zdrewniała dzierlatka ostrymi paluszkami wyrwała mi oko, zanim się w ogóle zorientowałem. A ty mi mówisz, bym zniszczył go... Sam? Upadliście na głowę. Już dawno, swoją drogą!

- Nie krzycz, bo tu przyjdą – Opiekun odsunął się i stanął nade mną – Jesteś jedyną osobą która może tego dokonać. Przepowiednia nie kłamie. Ty jesteś wybranym i...

- Daj mi napój.

- Słucham?

- Daj mi, kurwa, napój leczniczy.

Wypiłem całą buteleczkę jednym haustem i od razu poczułem się odrobinę lepiej. Oko już nie piekło tak bardzo. Sztyletem odciąłem szeroki pas materiału od płaszcza i przewiązałem sobie wokół oczodołu. Opiekunowie obserwowali mnie w ciszy. W końcu ten nade mną odparł:

- Musisz stąd uciekać i działać szybko. Szachraj rośnie w siłę. Nie możesz dopuścić do rozpoczęcia rytuału i transferu...

- Skończ. Poradzę sobie... Jak zawsze, bez was. Gdzie mój ekwipunek?

- Tutaj.

- Macie napoje lecznicze?

- Nie.

- No to wypierdalajcie.

Gdy rozplłynęli się w mroku, wstałem powoli, obmacałem ręką żebra i nie wyczuwając większych uszkodzeń założyłem torbę ze sprzętem na ramię. W kącie znalazłem dziwne fioletowe owoce, a że sytuacja była straszna, a ja niesamowicie głodny, skosztowałem ich. Były wyborne w smaku i przywracały siły, zapakowałem więc parę do torby. Otworzyłem drzwi i ruszyłem po schodach w dół.

Znalazłem się w wielkiej pieczarze, gdzieś pod domem. Ściany były czerwonawe, a ziemię wyścielały zbutwiałe liście. Schowałem się za murem i patrzyłem przerażony na strażników. Ich też nie ominęła przemiana właściciela.

Spomiędzy kolczug wystawało brudne, brązowe futro, a nad koślawymi nogami bujały się nagie, szcurze ogony. Istoty miały płaskie twarze, ni to małpy, ni to gryzonie. Patrolowały okolicę, powłócząc nogami i trzymając miecze w długich, owłosionych łapach. Ominąłem ich dosyć łatwo, chociaż za każdym razem, gdy przemykałem się za plecami, unosiły łby i chrząkały, jak gdyby wietrząc mnie. Na szczęście nie szły w pogoń – to cały czas była inteligencja strażnika, tyle że w ciele małpiziona.

Przemykałem się wąskimi korytarzami, uważając na szczurołaki. Dotarłem do rozległej kawerny z ogromnym drzewem pośrodku. Wokół krążyła paskudna maskara. Wyglądała jak modliszka na dwóch nogach. Humanoidalny stawonóg chodził powoli, jakby szukając pożywienia, wydając cichutkie „tzzt”. Uważając na niego, wspiałem się na drzewo, by chwilę odpocząć w spokoju. Tam ze zdziwieniem odkryłem... platformę, a na niej parę owoców, które natychmiast pochłonałem, kilka strzał i księgę. Z niej wyczytałem zamiary Szachraja. No cóż, jeśli to naprawdę przeze mnie, będę miał wyrzuty sumienia do końca życia. No, może przesadzam.

Z podziemnych kompleksów dostałem się na teren domu. Wszędzie kręcili się szcurzy strażnicy, zauważyłem też parę opasłych zielonych pajaków. Natknąłem się na parę kosztowności przeoczonych przeze mnie podczas ostatniej wyprawy, oraz kilka samorodków złota i srebra. Szelma wyciągał je pewnie z podziemnych tuneli.

Pamiętałem dom, więc w miarę szybko znalazłem wyjście. Było pilnie strzeżone, musiałem więc wejść na wyższy poziom, by tam spuścić się do ogrodu poprzez balkon. Byłem ranny, całe ciało krzyczało, brak oka doskwierał, a na dodatek przywróciłem światu moc i potęgę wrednego bożka

– musicie zrozumieć że nawet nie miałem ochoty pozwiedzać innych kondygnacji.

Na górze czekała mnie nieprzyjemna niespodzianka – natknąłem się na modliszkę. Stworzenie stanęło jak wryte i wpatrzyło się we mnie złotymi siateczkami oczu. Poruszyło żuwaczkami i zazgrzytało wręcz przyjaźnie. Za sobą usłyszałem jednak wrzask wbiegającego strażnika, instynktownie padłem więc na podłogę, boleśnie uderzając w nią żebrami i widząc ostrze miecza migające nad głową. W tym momencie usłyszałem przerażający dźwięk jakby plucia, coś żywego i bzycającego przeleciało mi nad kapturem, a strażnik wrzasnął znowu... Tym razem jednak wyraźnie z bólu i strachu. Odbiłem się od podłogi wyciągając miecz, z rozpędu ciachnąłem modliszkę pozbawiając ją głowy i przyozdabiając zieloną krwią ścianę, po czym odwróciłem się. Szczuroczłek miotał się między łózkami, kwiląc i machając w panice łapami, znajdując się za chmurą ogromnych, bzycających kasających much. Nie wiedziałem, skąd się tam wzięły i nie obchodziło mnie to. Błyskawicznie wyszedłem na balkon, wpiłem palce w pnącza oplatające ścianę i zjechałem na dół.

SKAŁA NIE MOŻE WIEDZIEĆ, DLACZEGO ROZŁUPIJE JĄ DŁUTO. ŻELAZO NIE MOŻE WIEDZIEĆ, DLACZEGO OGIEŃ GO PALI. GDY TWOJE ŻYCIE JEST ROZŁUPYWANE I PALONE, GDY ŚMIERĆ I ROZPACZ OGARNIAJĄ CIĘ, NIE BIJ SIĘ W PIERŚ I NIE PRZEKLINAJ ZŁEGO LOSU, LECZ DZIĘKUJ BUDOWNICZEMU ZA PRÓBY, KTÓRE CIĘ KSZTAŁTUJĄ.

-- MŁOTA KSIEGA DOKTRYN



*...Szachraj jednak istnieje naprawdę. Nie sądasz, by kto-  
kolwiek poza tymi szalonymi Mitotami naprawdę wierzył  
w starych bogów...*





Zwymiotowałem na schodach przed mieszkaniem. Otworzyłem drzwi wytrychami – klucz miałem głęboko za pazuchą i dużo dłużej zajęłoby wyciągnięcie go – po czym wszedłem do środka. Tam zrzuciłem ubranie i zabrałem się do gruntownego leczenia. Przemyłem oczodół sycząc z bólu, a później zabrałem się za badanie i owijanie suchym bandażem barku oraz torsu, co zajęło mi godzinę. Następnie wyjąłem z szuflady kapiuch z tytoniem, odkorkowałem wino i usiadłem przed oknem. Czekala mnie długa noc rozmyślań.

Zanim wstało słońce, opuściłem dom. W zaistniałej sytuacji musiałem udać się po pomoc do Młotów, którzy na pewno znali jakąś metodę na powstrzymanie Szachraja, i którym jego powrót zagrażał najbardziej. Miałem tylko nadzieję, że bożek nie dotarł do sanktuarium pierwszy.

Mylilem się... Po raz kolejny.

Pierwsze ciało znalazłem nieopodal głównych wrót sanktuarium – strażnik siedział oparty o mur, przypominając w porannym półmroku wór wystawiony przed wejście. Gdy uniosłem jego głowę, zakląłem. W miejscu piersi widniała wielka, karminowa dziura, z której po porużeniu wyleciał brzęczący rój. Wyjąłem miecz i udałem się w stronę świątyni.

Brama była wylamana. W środku, omijając potłuczone szkło oraz porzbijane figury, zająłem do wybebeszonych baraków – nikogo. Z plecami przy ścianie i z ostrzem w dłoni ruszyłem dalej, wiedząc, że szanse na spotkanie kogokolwiek żywego są niewielkie – Szachraj był tu pierwszy. A sądząc po szybkości ataku i pobjowisku, nie przybył sam.

Tzzt.

Jest...

Tzzt.

Skończyły się żarty.

Tzzt, tzzt.

Oko za oko...

Miecz Konstantyna z przerażającym sykiem wychynał z mroku dosięgając pełznącą po kaflach modliszkę, jak papier przecinając chitynowy pancerz i w obrotowym tańcu pozbawiając ją życia. Po ścianie natychmiast zsunęły się dwa tłuste pająki, z chrobotem pędząc w stronę zamieszania – jeden nie zdążył nawet dotknąć podłogi, wypatroszony grotem strzały, drugi zaś przywitał pajęczego boga przecięty na pół skomplikowaną fintą. Taniec śmierci właśnie się rozpoczął.

Biblioteka... Kartki sklezione posoką, połamane półki, poorane pazurami blaty. Pająk. Błysk. Śmierć.

Sypialnia arcykapłana. Wylamane drzwi. Pęczki pierza wirujące w powietrzu nad rozprutym łóżkiem. Modliszka, silne pchnięcie. Śmierć.

Dzwonnica. Przewrócone postumenty, rozbita na kawałki czaszka Yory. Nikogo. A mimo to śmierć...

Śmierć, śmierć, śmierć... Kiedy kres?

Dotarłem do kaplicy. Pomiędzy ławami zauważyłem czerwony kabat, jednak z daleka dało się poznać, że ciało było tak zmasakrowane, iż podchodzenie nie miało sensu. Z ulgą przyjąłem też fakt, że nie był to arcykapłan.

Ołtarz był odsunięty, odsłaniając ziejący otwór. Stałem nad nim i pociągnąłem nosem – poczułem pleśń, butwiejące drewno i smród znany mi jeszcze z rezydencji Konstantyna. Szczurołaki.

Gotowys mieczu? Napiłbyś się?

Napiłbyś się świeżej krwi?

Zsunąłem się w dół po drabinie, lądując bezdźwięcznie na miękkim podłożu. Okrągła jaskinia obrośnięta była zielskiem, czułem jednak lekki powiew, co oznaczało że nie jest ślepa.

\* \* \*

Z przyległego pomieszczenia wyszedł, stąpając koślawo, szczuroczłek. Uspokojony bezruchem i brakiem intruzów, poruszył lekko ogonem, zachrząkał i podrapał się po kosmatym pośladku. Gdy wychodził, ze ściany po lewej odkleił się niepozorny na pierwszy rzut oka kształt i ruszył za nim. Gdybyś miał problemy z kojarzeniem, drogi czytelniku, podpowiem że był to człowiek bez oka, cholernie wściekły z tego powodu i szukający zemsty.

W kolejnym pomieszczeniu stał inny szczurołak, zapatrzony w jakieś świecełko które obracał w łapach. Drugi podszedł do niego i stanął obok, potrząsając lekko mieczem. W tym samym momencie, w ciemności za nimi uniosło się inne ostrze.

- Widziałeś coś? – chrapliwie odezwała się istota.

- Nii... Nic żywego, nic nie ma.

- Dobrze. Zmęczony. Nie móc bronić przejścia...

Ostrze zatrzymało się w powietrzu. Po czym powolutku opuściło się i wśliznęło do pochwy.

*Co robisz? Szukasz zemsty. Zabij je!*

Nie. Nie tak...

*Oszalałeś?! Zabrały ci oko. Oszukały cię!*

Nie one. To tylko kukielki.

*Zasługują na śmierć!*

Nie jestem rzeźnikiem. Jestem złodziejem. Nie zabijam, gdy nie muszę. A te stworzenia były kiedyś ludźmi.

Ruszyłem dalej, zostawiając za sobą niewolników Szachraja.

\* \* \*

W kolejnej sali nagły błysk przyciągnął moją uwagę. Zaciekawiony, zbliżyłem się do resztek drewnianej ławy – leżało tam dłuuto, tak wyszorowane i zadbane, iż pasowało do tego miejsca jak Bafford do biblioteki. Podniosłem je i schowałem do torby, tknięty nagłym uczuciem, iż jeszcze może mi się przydać.

Dalsza wędrownka korytarzami była pełna niespodzianek – poza szczurołakami, pajakami oraz modliszką odkryłem małe pomieszczenia z kryształami, które oczywiście sobie przywłaszczyłem. W pewnym momencie zobaczyłem kamienne schody prowadzące w dół. Jakież było moje zdumienie, gdy w wyrzeźbionym w kształt młota portalu ujrzałem zakonnika Młota.

Widocznie był strażnikiem, bo gdy mnie ujrzał uniósł broń i krzyknął. Za jego plecami ujrzałem siedzących pod ścianami braci, z których jak z pękniętego balonu uleciała duma i siła – wszyscy byli pokrwawieni, owinięci jakimiś brudnymi szmatami. Ktoś kłął, ktoś krzyczał podczas zmiany opatrunku, wielu kasłało. Jakiś tkwiący w malignie Młot wrzeszczał, że musi pójść do kaplicy po modlitewnik, co zapewne by uczynił,

gdyby nie trzech innych przytrzymujących go. Strażnik zbliżył się do portalu:

- To... Ty?! Przyszedłeś... z nimi? – zacharczał, opierając się rękawicą o kamienną ścianę.

- Nie. Gdzie jest arcykapłan?

- Zabrali go – zakonnik zakasłał, zasłaniając usta dłonią. Gdy odjął ją od twarzy, zauważyłem na niej kropelki krwi – Zabrali... Ty mógłbyś nam pomóc... Sprawdzić czy żyje i przyprowadzić go... A jeśli nie... Znaleźć ciało i uratować je przed pohańbieniem...

- Gdzie jest? Muszę go zobaczyć. Szachraj wrócił.

- Wiemy... Podwoje zostały otwarte i największy wróg znów kroczy po ziemi. Weź tę mapę i klucz... Nasz brat... Gdzieś tam jest, za metalowymi drzwiami na górze. Śpiesz się.

Schowałem przedmioty do torby i odwróciłem się bez słowa. Wbiegłem z powrotem po schodach. Po lewej zauważyłem żelazne, pokryte nalotem rdzy drzwi. Otworzyłem je kluczem i wślizgnąłem się do środka.

Poruszałem się korytarzami, unikając patrolujących szcziuroczków, zwłaszcza uważając na tych stojących przy ogniskach. W jednym z pomieszczeń zauważyłem czerwony błysk – w rogu, na dziwnej roślinnej strukturze przypominającej ołtarz, leżał arcykapłan.

Podpełzłem do niego i przyłożyłem palce do szyi – żył, choć tętno było ledwo wyczuwalne. Przyjrzałem mu się, nie mogąc pohamować złośliwego uśmiechu na widok dziwacznie skrzywionego, zapewne złamanego przeze mnie niedawno nosa.

*No dobrze dziadku, wychodzimy* – uważając na stojących za mną przy ogniu szcziurołaków, uniosłem lekko jego stare ciało i przerzuciłem sobie przez ramię. Wycofałem się powoli, obserwując uważnie strażników.

Droga powrotna wlokła się w nieskończoność, jednak obyła się bez przykrych niespodzianek, gdyż przy każdym szmerze chowałem się w najgłębszym cieniu. Staruszek nie dawał żadnych znaków życia

i w pewnym momencie wystraszyłem się, że zwyczajnie zszedł z tego świata. Gdy dotarliśmy do kamiennego portalu, ten sam strażnik otworzył szeroko oczy:

- Jego świątobliwość! Żyje?

- Żyje, ale ledwo. Wpuście mnie!

- Tak, ale żadnych sztuczek, złodzieju. Wystarczająco już wycierpieliśmy.

Odrzuciłem z głowy kaptur, odsłaniając ziejącą z oczodołu dziurę.

-No co ty nie powiesz?

Młot przy całej swojej bladości zrobił się jeszcze bielszy. Przelknął ślinę.

- Wchodź.

CIEŻAR NA OBU SZALACH RÓWNOWAGI ZWIĘKSYŁ SIĘ ZNACZNIE. ZMIERZAJĄC DO SWEGO ZWYCIĘSTWA NASZ WRÓG ODSŁONIŁ SIĘ NA CIOSY. NIE MOGLIŚMY DZIAŁAĆ BEZPOŚREDNIO, LECZ TYLKO OBSERWOWAĆ I CZEKAĆ, CZY JEGO DUMNIE WYBRANY PIONEK OKAŻE SIĘ JEGO ZGUBA.

-- ROCZNIKI OPIEKUNÓW



*...jeszcze nigdy wcześniej nie skrącałem łoga. To dopiero  
naprawie...*





- Przytrzymajcie go! Połóżcie tutaj! – jeden z zakonników komenderował innymi, którzy otoczyli wianuszkciem wciąż nieprzytomnego kapłana, bez ceregieli odpychając mnie na bok. Stałem ze skrzyżowanymi rękami pod ścianą, za nic mając sobie nieprzyjazne spojrzenia i ciche przekleństwa wydobywające się z ust pojedynczych zakonników, patrzących na mnie spođe łba. Reszta kucnęła przy świątobliwym mężu, przyglądając mu się z zafrasowaniem.

- Podajcie jakiś napój leczniczy! Szybko!

Stałem i patrzyłem na nich, czując się jak mysz wśród głodnych koczurów. Jeden z Młotów odwrócił się w moją stronę. Był wielki i zarośnięty, a jego policzek szpeciła paskudna blizna. Zazgrzytał zębami po czym splunął mi pod nogi. Nie poruszyłem się.

- To ty jesteś wszystkiemu winien!- ryknął jak ranny tur, robiąc krok do przodu – To przez ciebie Leśny Pan wrócił! Wszedłeś z nim w koneszachty, kanałowy szczurze!

Gwar rozgorączkowanych głosów ucichł, wszystkie głowy uniosły się znad leżącego kapłana i obserwowały całą scenę. Musiało to wyglądać rewelacyjnie – wielki jak nosorożec, napęczniały gniewem wojownik, a naprzeciw niego chudy złodziej. Jeden z zakonników unióśł się z kolan i położył rękę na ramieniu rozjuszonego agresora.

- Ostaw, Yorick. Mamy ważniejsze sprawy na głowach – bąknął – Stało się. Chodź tu i pomóż...

- NIE! – Młot zrzucił dłoń z naramiennika jakby to były ptasie odchody i w dwóch podskokach znalazł się przy mnie. Poczułem jak moje stopy odrywają się od ziemi, gdy wielkie, pokryte żelazem łapy chwyciły mnie za poły płaszcza i uniosły do góry – Gdyby nie on, nigdy by do tego nie doszło! Nie rozumiecie!?! To złodziej! Śmieć!

Mówiąc to, przyciągnął moją twarz do swojej. Widziałem sklejoną brudem brodę i szramę na policzku. Widziałem jego ból, strach i gniew... Mając kamienną maskę, wpatrywałem się prosto w przekrwione oczy.

- ŚMIEĆ, SŁYSZYSZ GADZIE!?! ZABIJĘ CIĘ! UDUSZĘ!

- Ostaw, Yorick – rzekł inny głos. Takiej barwy i tonu, że Młot puścił mnie i odwrócił głowę.

Kapłan stał, podtrzymywany lekko przez pomocnych zakonników. Był śnieżnobiały, na jego czole perliły się krople potu. Pomimo wątlej budowy ciała od jego głosu i postawy biła tak wielka moc i energia, że wielu aż wciągnęło słyszalnie powietrze. Arcykapłan wyswobodził się z rąk swoich braci i zbliżył powoli do mnie. Stałem, nie wiedząc co zrobić.

*Spali mnie... Podpali mnie ognistą kulą za nos* – takie myśli kołatały w mojej głowie. Gdy w końcu stanął przede mną, spojrzałem w czarne, paciorkowate oczy. Zobaczyłem smutek... I nadzieję.

- Chodź, złodzieju. Mamy niewiele czasu, a musimy omówić wiele rzeczy – Odwrócił się i ruszył w głąb korytarza. Poszedłem za nim, widząc, jak Młoty rozstępują się przed jego świątobliwością, chyląc z szacunkiem głowy.

\* \* \*

W małym, wykutym w skale pokoiku opowiedziałem mu wszystko – od zdobycia miecza i eskapady do Starej Dzielnicy, aż po ujrzenie samego Szachraja. Mówiłem cicho, podczas gdy kapłan siedział na zydlu,

wspierając brodę na dwóch wysuniętych palcach. Przy drzwiach tłumili się Młoty, słuchając mojej opowieści. Gdy doszedłem do pochwycenia Oka, któryś krzyknął z niedowierzaniem:

- To niemożliwe! Nikomu nie udałoby się wejść do tego miejsca!

Kapłan uciszył go jednym ruchem ręki. Gdy skończyłem mówić, popadł w krótką zadumę, po czym rzekł:

- Wiem, że mnie nie okłamałeś, złodzieju. Muszę przyznać że jesteś jedyną osobą, która może cofnąć to, co się stało. Ba, jesteś jedyną osobą, która powinna to zrobić z racji na swoją winę. Pomogę ci w dostaniu się do legowiska Szachraja. Leśny Pan pragnie za pomocą Oka przywrócić czas, gdy człowiek był zwierzyną dla otaczającego go mroku. Pokonamy go więc własną bronią... Bracie Markusie?

- Jestem, panie! – z tłumy czerwonych kabatów wyszedł zakonnik i skłonił się.

- W tych korytarzach znajduje się jeszcze ta stara kuźnia, prawda?

- Tak, panie.

- Co z bratem Salomą i Geraldem?

- Polegli, panie.

- A młodsi metalurdzy? Czeladnicy?

- Zabici.

- No cóż, będziesz więc musiał poradzić sam. W mojej księdze widnieje rycina Oka. Wykonaj dokładną replikę ze szklanym kryształem. Spiesz się, nie mamy dużo czasu.

- Tak panie – brat Markus skinął głową, po czym zniknął w tłumie, który zafalował.

- Co zamierzasz, panie? – spytało paru zakonników. Arcykapłan popatrzył przez chwilę na mnie, po czym rzekł głośno.

- Dzięki zdolnościom tego człowieka replika wyląduje w barłogu Szachraja na miejscu prawdziwego artefaktu, przez co zachwiana zostanie delikatna struktura rytuału przyzwania, co w konsekwencji doprowadzi do porażki Leśnego Pana. Dodatkowo, operując żywiołami – te słowa

skierował do mnie – zniszczysz portal, będący wylęgarnią bestii służących bożkowi. Udasz się tam i powstrzymasz go po swojemu. Cicho. Bezdzźwięcznie. Bezpiecznie. Godzisz się na to?

Popatrzyłem na jego starą, poznaczoną ciemnymi żyłkami, pergaminową twarz. Przekręciłem głowę, obserwując stłoczonych w wejściu zakonników. Westchnąłem.

- Nie mam wyboru...

- Faktycznie, nie masz. Zjedz coś teraz i odpocznij. Zawołam cię, gdy replika zostanie wykonana, a ja zbiorę siły na tyle, by otworzyć bramę do jego świata...

\* \* \*

I oto stoję w dziwnej, tęczo błyszczącej komorze, ze sztucznym klejnotem za pazuchą, nie wiedząc, czego się spodziewać przed sobą. Wyteżam wzrok w ciemność, słyszę odległe, niepodobne do niczego dźwięki, a ciepłe powietrze przynosi feerię zapachów, od skrajnie nieprzyjemnych po średnio-nieprzyjemne. Czas iść.

Zrobiłem krok do przodu i natychmiast przywarłem plecami do ściany. Z korytarza, oświetlona lekko przez fioletową narośl na skale, wyszła modliszka. Intuicja podpowiadała mi, by nie robić hałasu, jednak wiedziałem, że jeśli stwór wejdzie do komory i odwróci się, ujrzy mnie w świetle kryształów.

Stawonóg precyzyjnie przeszedł przez wąskie wejście do pomieszczenia, poruszył czułkami i zazgrzytał żuwaczkami. Jego owadzie zmysły nie wykryły zagrożenia. Odwrócił się, by opuścić komorę. I w tym momencie spadłem na niego spod kamiennego stropu jak nietoperz, gdzie tkwiłem, zawieszony w szpagacie pomiędzy ścianami. Szybko opadający sztylet, dźwięk padającego chitynowego ciała... i spokój.

Umieściwszy zwłoki w rogu ostrożnie wyszedłem, wprost do ogromnego, opadającego w dół podziemnego korytarza. Powoli, chowając głowę

w ramionach, ruszyłem pod mroczną ścianą, uważając na stojące we wnękach inne modliszki, pilnujące przejścia. Minał mnie też rakolud, mieniący się niebieskawą barwą pancerza oraz szczuroczłek. Bezdzźwięcznie poruszałem się wzdłuż kamiennych ustępów, obserwując coraz to nowych chitynowych wartowników. Bez problemów minałem kompleks fioletowych jaskiń, w których z ulgą powitałem leżące gdzieś gdzie kryształowe gazowe. Schowałem je bezpiecznie do torby – kapłan mówił coś o żywiołach i portalu. Mogą się więc przydać.

Dotarłem do dalszej części jaskiń. Roilo się tu od przeróżnych stworów, głównie szczurołaków. W pewnym momencie usłyszałem niedalekie bulgotanie lawy i wszedłem do olbrzymiej kawerny. Stąpając po kamiennych wystęпах i skacząc z głazu na głaz nad jeziorem rozżarzonej magmy, dostałem się do nowego korytarza.

Dziwny zapach, jakby po burzy, połaskotał moje nozdrza. Z pochylego gruntu wyrastały dziwne, krystaliczne formacje. Podszedłem do jednej z rezerw. Wydawały z siebie lekki, buczący odgłos, a gdy zbliżyłem dłoń, parę iskier trysnęło, parząc mnie w palce. Zrobiłem krok do tyłu i usłyszałem... kumkanie. Ki diabeł?

Odwrociłem się, widząc niedużego płaza, wpatrzonego we mnie guziczkami czarnych oczu. Istotka poruszyła gardzieli, wydała wysoki świergotliwy dźwięk po czym... skoczyła wprost w kierunku mojej twarzy.

Cofnąłem się odruchowo, czując nagle jak grunt usuwa mi się spod nóg. Uderzyłem boleśnie potylicą w twardą ziemię i rozszerzyłem ze zdumienia oczy, gdy okazało się, że z dość dużą prędkością zsuwam się w dół. Jeszcze bardziej przeraziłem się, gdy płaz, w połowie skoku, wybuchł z głośnym trzaskiem, a na mojej twarzy wylądowały wnętrzości istoty. Zjeżdżając na plecach, starłem krwawą breję z twarzy i okręciłem się tak, by wylądować na dole nogami. Ze stęknięciem wylądowałem na dole pochylenia, po czym ruszyłem przed siebie.

Jaskinia była podobna do poprzedniej, jednak zamiast wybuchających płazów zauważyłem żywiołaki ognia, krążące niespokojnie po kawernie. Nie miałem ochoty na zabawę, przymocowałem więc kryształki wodne do strzał, po czym z cichym pyknięciem posłałem istoty w niebyt. Środkiem jaskini płynął strumień lawy, który przeskoczyłem, zabierając jednocześnie parę kryształów ognia, leżących na skalnej półce tuż nad gorącą powierzchnią. Minawszy strumień, spotkałem coś... dziwnego.

Szum wody spowodował nagłe zatrzymanie i ocenienie sytuacji. Zobaczyłem przed sobą wodospad, który... płynął w górę. Nie zastanawiałem się nad bezsenssem całej sytuacji, a jako że nie miałem innej drogi, wciągnąłem głęboko powietrze, po czym wskoczyłem do zimnej, górskiej wody. Prąd uniósł mnie, rzucając jak stateczkiem z kory, jakim bawiłem się będąc szczeniakiem. Po krótkiej chwili, która mi, trzymającemu powietrze, wydawała się wiecznością, wodospad wypluł mnie wprost do wielkiej, naturalnej kadzi. Odbiłem się stopami od kamiennego dna, po czym wychynałem na powierzchnię, łapczywie łapiąc powietrze.

W następnej, olbrzymiej jaskini znajdowało się drzewo. Nie takie, jakie widuje się w ogrodach i parkach, ani nawet takie jak to, które widziałem pod domem Konstantyna – to było ogromne, omiatało koroną niewidoczne w mroku sklepienie, a mocarne, przypominające nogi tytana korzenie, rozrywały bez trudu kamienne ściany. Wokół krążyło kilku szczuroczłeków, jednak unikałem bliskich kontaktów kryjąc się we wnękach. Jedyna droga, którą zauważyłem, wiodła do środka pnia, skryłem się więc tam. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – w porośniętym mchem wnętrzu widniały drabiny, po których zacząłem się wspinać, unikając jednocześnie czających się gdzieś pająków. Na szczycie zauważyłem kolejny dziw – zrobiony z powłóczystej, migotliwej powłoki mostek. Z lekką obawą wszedłem na niego – wytrzymał, ba, był jak z granitu.

Szedłem wciąż cholernymi tunelami, w których widniały parzące kryształki. W końcu dotarłem do pierwszego celu – portalu. Zaczajony za

wielkim, chropowatym głazem, obserwowałem, jak po drugiej stronie jeziora magmy otwór przesłonięty czerwoną mgłą wypluwa raz po raz lewitujące kokony, w których zwinięte w letargu stwory Szachraja czekały na wcielenie ich do armii bożka. Obok portalu stała modliszka oraz szczu-roczełek. Zdjąłem z ramienia łuk, zrzuciłem z głowy kaptur, cięciwę ozdobiłem strzałą rozpryskową, po czym wypuściłem syczący grot – przewodnika śmierci.

Ha, nie muszę już zamykać jednego oka.

Szczu-roczełek dostał prosto poniżej mostka. Lawa przelewała się hałaśliwie pod moimi stopami, co uniemożliwiło mi usłyszenie jego wrzasku, nie sądzę jednak, by zdążył wydać jakikolwiek dźwięk – strzała tego typu zazwyczaj wychodziła plecami, w kilku miejscach. Gdy zwałił się na ziemię, modliszka uniosła swój błyszczący łeb i złowiła moją sylwetkę po drugiej stronie. Uniosła do góry przednie, ostro zakończone kończyny, po czym – co spowodowało nagły gorący przyływ powietrza do mojej twarzy – rozpostarła wielkie skrzydła, których nie uświadczylem u żadnego poprzedniego okazu i uniosła się nad rozpaloną gładzią, kierując chitynowe ciało wprost w moim kierunku.

Sięgnąłem ręką do kołczana, wtedy lecący stwór rzygnął we mnie jakąś ruchliwą chmurą. Był jeszcze dosyć daleko, chmura jednak zaczęła się zbliżać, i to naprawdę szybko. Ujrzałem co to jest – rój wielkich much.

Przyływ adrenaliny i lekkie ukłucie paniki spowodowały, że odskoczyłem niezbyt płynnie do tyłu – strzały wypadły z kołczanu i jak drewniane bierki rozsypały między głazami.

Kurwa.

Nie było czasu na zbieranie – skoczyłem za mojego przyjaciela – głaz, słysząc zbliżające się brzęczenie. Żywa kula uderzyła w twardą powierzchnię odbijając się od niej i rozpierchając na wszystkie strony. W tym samym momencie wyciągnąłem miecz i wyskoczyłem zza głazu na spotkanie z nadlatującym stawonogiem.

Istota czekała na mnie – kuciała na krawędzi, błyskając rozpostartymi skrzydłami, na których widniały jakieś dziwaczne wzory. Gdy stanąłem naprzeciwko, skrzydła zaczęły drgać z okropnym, bucującym dźwiękiem, zaś żuwaczki potwora zaczęły intensywnie klekotać. Uniosłem ostrze:

- Nie wiem, na ile jesteś inteligentny, robaczku, ale na twoim miejscu wzięlbym dupę w troki i odleciałbym. I to szybko.

Nie była inteligentna. Szkoda.

Skoczyła na mnie zatrważająco szybko, aż posypały się kamyczki. Uderzyła naraz ostro zakończonymi odnóżami – jedno musnęło płaszcz, drugie zaś udo. Wrzasnąłem, czując, jak tryska krew. Odskokyłem i spojrzałem na jedną sekundę w setki oczu stawonoga – ujrzałem niczym nieskrepowaną nienawiść. Śmierć.

Modliszka odbiła się mocnymi kończynami od podłoża i zapikowała w dół, próbując przyszpilić mnie do ziemi. Przeturlałem się w stronę głazu w ostatniej chwili, stwór grzmotnął w kamienie z głośnym sykiem. Szybko się uniósł, ale ja byłem szybszy – ciałem z półobrotu, pozbawiając go jednego skrzydła oraz końcówek uniesionych przednich odnóży. Modliszka zakrzyczała, a był to krzyk istic ludzki. Wytracona z równowagi nagłym szokiem i bólem nie stanowiła zagrożenia – kopnąłem butem w klekoczące żuwaczki, a gdy odsłonił się w ten sposób tułów – pchnąłem.

Gdy używałem strzał żywiołów, celując nimi w poszczególne postumenty wokół odległego portalu, powodując jego zniszczenie, niewidoczne dotąd muchy – dzieci pokonanej – sfrunęły z ciemności i zaczęły żerować na swojej matce.

Wyczuwałem lekkie drgania, nozdrza zaś wychwyciły zapach jakby po burzy – gdzieś niedaleko działała magia. Opatrzyłem nogę (na szczęście rana była dość płytka), po czym poszedłem na spotkanie. Z nim.

Wiszące liany pokonałem szybko jak jaszczurka. Już po minucie, leżąc na brzuchu, obserwowałem krążącego w dole Szachraja. Stukając



kopytami, chodził pomiędzy postumentami. Na środkowym ujrzałem Oko. Nie ma co czekać.

Zsunąłem się na dół. Szczęśliwie, wokół było wystarczająco dużo cienia, by się ukryć. Szachraj, machając nerwowo wielkim ogonem, poprawiał coś przy jednym z postumentów, nie widząc Oka. To była moja szansa – bezszelestnie przebiegłem przez krag, chwyciłem prawdziwy klejnot, a na jego miejscu ustawiłem szklaną replikę. Wycofałem się w to samo miejsce i kucnąłem. W głowie rozbrzmiał głos:

*Wiedziałem, że po mnie wrócisz złodzieju. To nieuniknione...*

*Zamknij się – pomyślałem – Nie teraz.*

Po kilku sekundach ciszy usłyszałem:

*Jak sobie życzysz. Dupek.*

Aż się uśmiechnąłem.

Szachraj zbliżył się do kolejnego piedestału i ustawił na nim jakiś przedmiot. Zbliżając się do środkowego, najważniejszego, uniósł wzrok i napotkał ciemność, w której siedziałem. Uśmiechnąłem się złośliwie i pokazałem środkowy palec – nie mógł mnie przecież zauważyć.

Wtedy ten skurwiel uniósł szponiastą dłoń, odwzajemnił obelżywy gest i ułożył usta jak do pocałunku.

Nawet nie zdążyłem pomyśleć, gdy z wysuniętej łapy bożka wyleciały lepkie sieci, przygważdżając mnie do ściany. Szarpnąłem się na próżno. Szachraj, śmiejąc się gardłowo, zbliżył się postukując kopytami. Stał przede mną, górując jak wielka kosmata lalka.

- Myślałeś, że możesz się ukryć w ciemności przede mną?

Potężny cios w twarz – drań nie używał magii, szponów czy czegoś takiego – zwyczajnie prał mnie kułakami w papę.

- Co, złodziejaszku? Myślałeś, że możesz, ot tak, wejść i bez szwanku przerwać mój Mroczny Projekt?

Bach! Potężny cios w żołądek. Nie wytrzymałem i zwymiotowałem gwałtownie. Szachraj uśmiechnął się, odsuwając w stronę piedestału ze sztucznym Okiem.

- Patrz, śmieciu, bowiem to niebywały zaszczyt, a zarazem ostatnie momenty twojego bezowocnego żywota. Nadszedł czas rytuału, a ty będziesz świadkiem nowego porządku! Ciesz się chwila, bo to, co wyjdzie za parę chwil z mojego świata dzięki tym obrządkom, zamieni ciebie i całą twoją zasraną rasę w pożywienie!

Mówiąc to, zaczął recytować zaklęcie monotonnym głosem, chodząc od piedestału do piedestału. Kręciło mi się w głowie, żółć oraz krew mieszały się w moich ustach i ściekały po brodzie. Widziałem, jak przedmioty na kamiennych postumentach rozblisły feerią barw, a Szachraj stanął przy Oku, uniósł potężne ramiona i krzyknął:

- Otwórz się dla mnie! Dla mnie! Dla mnie!

Wszystko zadrżało, na parę sekund zapanowała cisza, a w tym momencie bożek zrobił taką minę która sprawiła, że ból był jak najlepsza pieśczoła, a mieszanka smaków w ustach jak najdroższy trunkowy bukiet.

Zrozumiał, że przegrał, że został brutalnie i ostatecznie oszukany.

Piedestał wybuchł przy akompaniamencie oślepiającego białego światła, magiczny strumień spowił Szachraja, który padł bez ruchu na posadzkę. Zamknąłem obolałe oko, szarpiąc się na wszystkie strony. Klejąca substancja trzymała jak konopne sznury, a gdy wszystko wokół zaczęło się walić, zdałem sobie sprawę, że umrę.

*Przynajmniej jako pieprzony bohater* – pomyślałem. Po czym straciłem przytomność.

\* \* \*

Obudziły mnie ciche rozmowy. Zdałem sobie sprawę, że leżę w jednym z pokojów Sanktuarium, obwiązany ciasno bandażami. Nade mną pochylał się arcykapłan.

- Żyjesz, synu?

Uniosłem lekko głowę i syknąłem – bardziej z obowiązku, bo mówiąc szczerze bolały mnie tylko i wyłącznie mięśnie nóg.

- Taa... Jak mnie wydostałeś?

- Portal. I to w samą porę. Udało się, wiesz?

- Chyba...

Przez chwilę milczeliśmy – ja zapatrzony w białą powałę, on zaś obok łóżka, z brodą opartą na dłoniach i oczami utkwionymi gdzieś w przestrzeni.

- I co teraz, Młocie?

- Teraz? Teraz ubierzesz się, boś zdrów już jak rydz, wyjdiesz z tego świętego miejsca i, mam nadzieję, nigdy się już więcej nie spotkamy.

- Hm... Dobry plan, pater. Dobry jak jasna cholera...

Wciągałem koszulę i skórzany kabat. Gdy narzucałem płaszcz, mój wzrok padł na wiszące lustro. Z wrażenia aż otworzyłem usta, widząc zieloną, połyskującą trupio z do niedawna pustego oczodołu źrenicę. Kapłan uśmiechnął się.

- To małe podziękowanie od najlepszych techników zakonu. Widzisz te małe plamki na metalowej gałce? Przyłóż palec.

Zrobiłem jak powiedział, a wtedy zielona źrenica wypełniła cały kąt patrzenia. Odjąłem rękę i wszystko wróciło do normy.

- No, i co ty na to? – rzekł kapłan, wstając z zydła i otrzepując rękawy

- Nie powinienem tego mówić, ale chyba przyda się w twojej profesji, prawda?

- Nawet nie wyobrażasz sobie jak, pater – uśmiechnąłem się paskudnie do swojej nieogolonej twarzy widniejącej na szkle, po czym narzuciłem na ramię torbę i odwróciłem się do drzwi.

- Jeszcze jedno, złodzieju – coś świsnęło i uderzyło mnie w plecy z siłą wielkiego młota. Stęknąłem i rozłożyłem się na ziemi. Błyskawicznie przekręciłem się i szybkim skokiem znalazłem na nogach, dzierżąc w ręku sztylet. Arcykapłan uśmiechnął się promiennie.

- Przykazanie mówi „Nie rób drugiemu co tobie nie miłe” oraz „Kochaj swoich bliźnich, dzieci boże”, co skwapliwie sączymy w dusze naszych braci. Ale musiałem to zrobić: w końcu złamałeś mi nos, sukinsynu.

Śmiał się, gdy wychodziłem. Ja też próbowałem, ale plecy bolały nieznośnie.

\* \* \*

Na zewnątrz panował mróz. Wciągnąłem kłujące powietrze i poprzez obłoczki pary obserwowałem gwiazdy. Bogowie, dawno tego nie robiłem. Stałem tak, ciesząc się chwilą, która właśnie nadeszła, w swoisty sposób odpoczywając na zimnie. Wtedy poczułem ich obecność. Nie odwracając się, zadałem pytanie, które już raz tego samego dnia przeszło mi przez usta:

- I co teraz?

Z mroku wyszedł Opiekun, otulony szczelnie płaszczem.

- Udało ci się pokonać parę kartek, niepokorny... Czyny te, jakkolwiek ważne dla świata, a zwłaszcza dla twojego ego, są tylko kroplą w zalewie następstw i przepowiedni, które spełnią się po śmierci Szachraja. Nadchodzi nowa era, złodzieju. Równowaga nie została całkowicie zachowana, powiem więcej: została rozdarta na strzępy.

- Czyli nie zostałem bohaterem?

- Wiedz – Opiekun udał, że nie słyszy ironii w moim głosie – że twój wkład w utrzymanie równowagi nie zakończył się z dzisiejszym dniem. Nadchodzi era metalu, podczas której spełnią się kolejne proroctwa. Wtenczas przeznaczenie znów upomni się o ciebie, a ty...

- A ja podążę swoją własną ścieżką i zrobię to, co będę uważał za słuszne – powiedziałem spokojnie i odwróciłem się. Ruszyłem w stronę domu, zostawiając za sobą czarnego, nieruchomego jak posąg rozmówcę.

\* \* \*

Szedłem przez Miasto, ciesząc się chrupiącym dźwiękiem rozgniatanego śniegu pod podeszwami, bladym księżycem na niebie, tym, że w końcu się wyśpię, ba, nawet wrzaski pijanego strażnika na podmurzu, obrzucającego obelgami kobiety będące członkiniami rodziny jakiegoś „Hofenmeiera” miały swój urok.

Miał rację. Coś się kończy, a coś zaczyna.

Co ma być, to będzie. W tym momencie cieszyłem się światem, który mnie otaczał.

Cholera, co oni tam budują?